Andrzej Krakowski: Pollywood, czyli jak stworzyliśmy Hollywood



Andrzej Krakowski, fot. Jelenia Kultura, YouTube.

Barbara Lekarczyk-Cisek

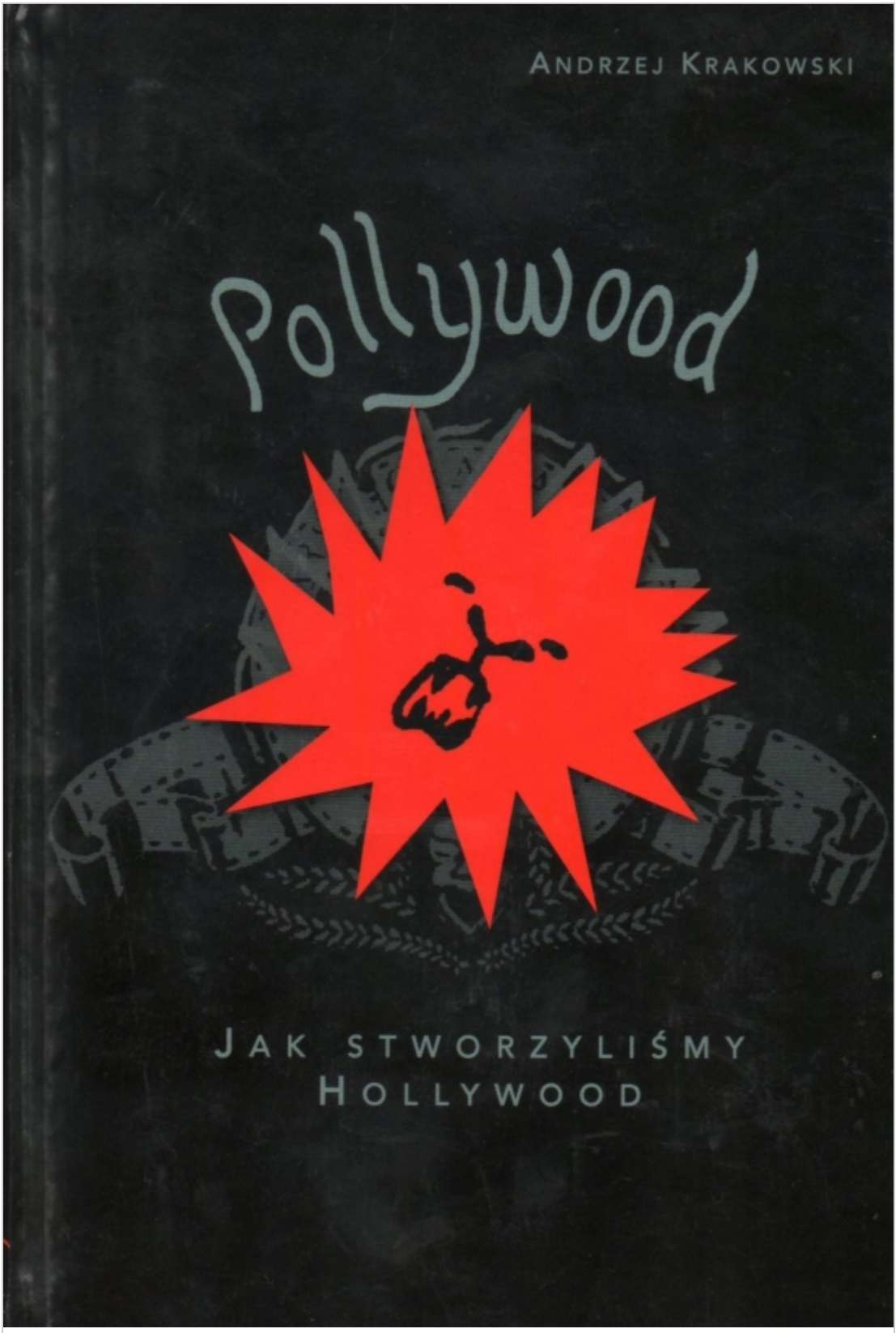
Hollywood stworzyli wizjonerzy i artyści rodem z Polski – twierdzi autor książek. Samuel Goldwyn, bracia Warnerowie, Billy Wilder czy Fred Zinnemann są po prostu nasi.

Stwierdzenie, że Hollywood stworzyli ludzie o polskich korzeniach wydawać by się mogło zbyt śmiałe, odrobinę szalone, a na dodatek megalomańskie. Polacy stworzyli Hollywood?! – zapyta każdy z powątpiewaniem. A jednak to fakt. Wątpiących odsyłam do książek Andrzeja Krakowskiego, który jak nikt dotąd sprawę tę zbadał i opisał. I to jak!

Pierwsza publikacja: ”Pollywood. Jak stworzyliśmy Hollywood” ukazała się w 2011 roku w PWN, ale jakoś przeszła bez echa. W ubiegłym roku Wydawnictwo Blue Bird podjęło temat ponownie i nie tylko starannie wydało tę pozycję, ale również zaplanowało – wychodząc naprzeciw autorowi – następne. W rezultacie w tym roku do rąk czytelników trafiła kolejna część opowieści o stworzeniu Hollywood przez Polaków, zatytułowana tym razem ”Pollywood. Uciekinierzy w raju”, w której krąg nazwisk znacznie się poszerza. Z naszej rozmowy z Andrzejem Krakowskim

wynika, iż autor kończy pisać trzeci tom i że powstaną kolejne, bo liczba nazwisk jest znacznie bogatsza.

Autor, będąc na emigracji, sam ze zdumieniem odkrył, że to właśnie Polacy stworzyli imperium filmowe i nadali mu kształt, który znamy obecnie. Byli wizjonerami, którzy mieli niekonwencjonalne pomysły nie tylko na samą sztukę filmową, ale także na jej dystrybucję w takim kształcie, jaki wszyscy znamy. Uciekając przed biedą i prześladowaniami, trafili do Stanów pasjonaci fotografii i wynalazcy, a także artyści.



Okadka pierwszej publikacji/Blue Bird

Siegmund Lubin – wizjoner kina

O niektórych z nich świat zapomniał. Nazwisko Edisona zna każdy, ale mało kto wie, że wynalazcą wszech czasów był konkurujący z nim Siegmund Lubin, czyli urodzony we Wrocławiu (wówczas Breslau) lub Poznaniu Zygmunt Lubszyński. Wyemigrował do Stanów w 1876 roku. Krakowski barwnie opowiada epopeję tego człowieka, który odziedziczywszy po ojcu profesję, zajął się produkcją soczewek i długo klepał (wraz z rodziną) biedę, zanim osiągnął stabilizację. Mimo ciężkiej wielogodzinnej pracy, miał wielki zapał i znajdował czas na eksperymentowanie z fotografią, a później z filmem.

Zapraszał do siebie miejscowe postacie, przebierał je w kostiumy, inscenizował sceny z życia lub z literatury i fotografował, a następnie układał w sekwencje i … sprzedawał na targach albo w szkołach. Potem odkrył kamerę i było to dla niego niezwykle inspirujące. Kupił od pewnego wynalazcy (Jenkins) ważącą blisko tonę kamerę i niebawem zaczął kręcić filmy. Nie tylko ulepszał sprzęt, ale – co ważniejsze – miał nowatorskie pomysły odnośnie tematyki i formy filmów. Postanowił m.in. przenieść na ekran w odcinkach historię wojny amerykańsko – hiszpańskiej, wyprodukował także całą Drogę Krzyżową (”Misterium pasyjne”). A nie były to jeszcze czasy wytwórni filmowych i filmy kręcono, gdzie się dało.

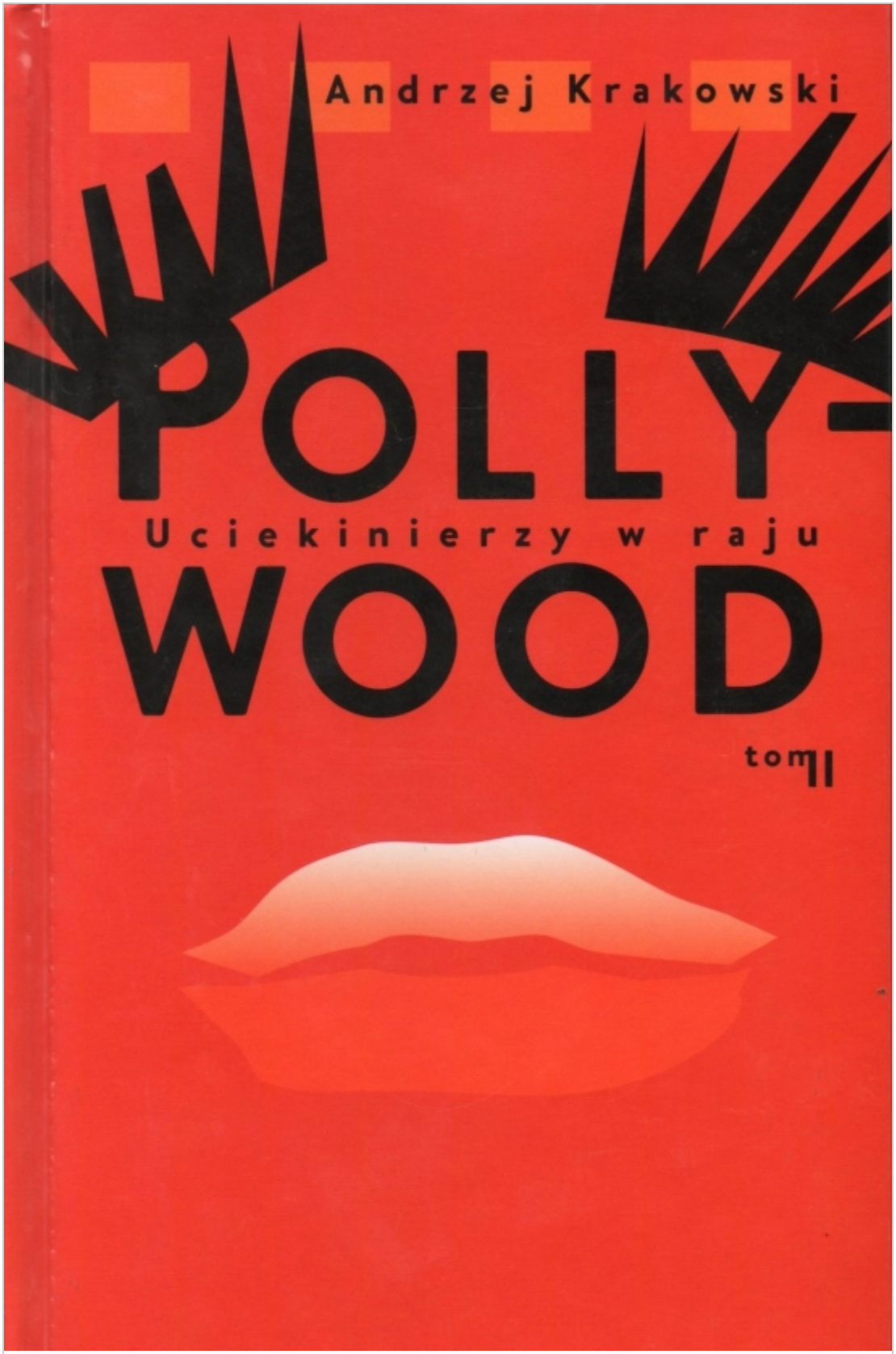
> Jeśli sąsiedzi byli zaniepokojeni – pisze z charakterystycznym dla siebie humorem Krakowski – widokiem pijanego Judasza Iskarioty zataczającego się w ogródku Lubinów lub Szymona Słupnika grającego w kości za stajnią, widok Jezusa krzyżowanego nad ranem w tej żydowskiej dzielnicy wprowadził ich w stan histerii.

To Lubinowi zawdzięczamy utrwalone obrazy prawdziwych pożarów i huraganów, ponieważ wysyłał swoich pracowników do ich filmowania, tworząc tym samym podwaliny pod pierwsze kroniki filmowe. On też jako pierwszy zaczął zakładać kina. I nie były to bynajmniej zgrzebne miejsca jak u konkurencji, ale budynki o wspaniałych fasadach, których zadaniem było przyciągać ”lepszą” publiczność. Inna sprawa, że za tym pompatycznym wystrojem skrywały się twarde i byle jakie krzesła (często pożyczone), za ekran służyła płachta zawieszona na ścianie, projektor niemiłosiernie trajkotał, zaś zdezelowane pianino okrutnie rzępoliło. Takie były siermiężne początki.

Lubin wymyślił także edukację przez film, udostępniając swoje kamery chirurgom do filmowania skomplikowanych operacji. W ogóle rozpiętość jego działalności przyprawia nawet dziś o zawrót głowy. Był kinooperatorem, aktorem, reżyserem, scenarzystą i producentem, a jak by tego było mało – także dystrybutorem i właścicielem kin. Wszystko robił z rozmachem.

Zbudował nawet ogromne studio z halami zdjęciowymi i nazwał je Lubinville.

Bez projektora Lubina – pisze autor – *nie byłoby dzisiaj kin, bez jego wizji nie mielibyśmy sieci multipleksów.* W pewnym momencie był właścicielem trzech wytwórni i we wszystkich otworzył dla swoich pracowników stołówki oraz przedszkola dla ich dzieci. Dał też szansę zaistnienia wielu ludziom, był życzliwy i otwarty. To dzięki niemu Henry King stworzył swoje historyczne filmy, a Oliver Hardy (znany komik z duetu Flip i Flap) zagrał pierwszą rolę.



Okładka najnowszej publikacji/Blue Bird

„Pół żartem, pół serio” nakręcił Polak!

Przytoczyłam przykład zapomnianego pioniera filmu, aby trochę przyszły czytelnik mógł posmakować tego, co nam autor przygotował. Jednakże takich pasjonatów i ludzi nietuzinkowych znajdziemy w książkach Krakowskiego wielu. Jest wśród nich m.in. założyciel wytwórni Metro-Goldwyn_Mayer: Samuel Goldwyn, urodzony w Warszawie jako Szmul Gelbfisch, Louis B. Mayer z Mińska, Lewis Żelaźnik, którego znamy jako Selznicka, bracia Warnerowie z Krasnosielc, a także William Fox, Adolph Zukor, Otto Preminger (z Wiśnicy), Fred Zinnemann z Galicji i wielu innych. Jakże miło jest pomyśleć, że ulubiony western ”W samo południe” czy ukochaną komedię ”Pól żartem, pół-serio” zrobili jednak „nasi”, nieprawdaż?

Mało kto dziś wie, że aktor pierwszego filmu dźwiękowego (”Śpiewak jazzbandu”, 1927) – Al Jolson pochodził z terenów należących do Polski (prawdopodobnie z Sieradza), a Billy Wilder z Suchej Beskidzkiej. Że słynny Charles Bronson to naprawdę Karol Buczyński…

Wielką zaletą książek Andrzeja Krakowskiego jest nie tylko ich potoczysta, pełna humoru, a czasem ironii, narracja, ale także rzetelność biografa. Autor dotarł do wielu źródeł, które w swojej książce przedstawia krytycznie i odnosi się przy tym do własnych doświadczeń, także do osobistych relacji z niektórymi swoimi

bohaterami, których miał szczęście poznać. Znakomicie zna nie tylko ich losy, ale też osadza je w szerokim kontekście społeczno – obyczajowo – politycznym, dzięki czemu lepiej rozumiemy ich motywacje, zachowania – ich osobowości. A były to indywidualności nieprzeciętne, które odcisnęły swój ślad na kolejnych pokoleniach kinomanów. Bez większej przesady można powiedzieć, że bez nich nie bylibyśmy tacy, jacy jesteśmy.

Andrzej Krakowski wykonał pracę, którą nie sposób przecenić – odkrył bowiem dla nas inny, polski Hollywood – Pollywood właśnie, jako część naszego dziedzictwa, którego nie byliśmy dotąd świadomi.

Wywiad z Andrzejem Krakowskim ukaże się na stronie w piątek 2 grudnia.

http://kulturaonline.pl

W górach Afganistanu



Góry w Afganistanie.

Ryszard Sawicki

Góry w Afganistanie są ciemnobrązowe, przykryte czapami śniegów. Pogórza są nieco jaśniejsze, z odcieniami ugru,

podobnie jak stepy, które oddzielają strefy górskie od pustyń. Pustynie są złote lub żółte, ale czasem lśnią grafitową szarością bagien. albo bieleją płatami soli. Afgański Hindukusz Zachodni otoczony jest wstęgami płaskich terenów, które rozciągają się aż do niższych pasm górskich biegnących za granicą Iranu od północnego zachodu na południowy wschód. Pustynie afgańskie znajdują się na miejscu plioceńskich jezior. Są to pustynie kamieniste i żwirowe, zwane daszt, podobne do saharyjskiej hamady. Noszą nazwy Daszt-e Naumid, Margo i Chas. Pustynią piaszczystą jest Registan. Są też pustynie gliniaste i topieliska błotne. Kewiry to rozległe dna zagłębień, częściowo pokryte solną skorupą i słonym błotem. Największy zespół kewirów nosi nazwę Gand-e Zere. Pustynie i stepy mają efemeryczną roślinność. Pod koniec lutego i w marcu czerwienią się tu maki, kwitną tulipany, kosaćce, rosną osetnice, jaskry, perz i cierń wielbłądzia. Na początku maja pozostają z nich tylko suche badyle. Bywają jednak wiosny gdy ziemię porastają wysokie trawy.

Monotonny krajobraz urozmaicony jest pojedynczymi wzniesieniami i dolinami rzek. Na początku lutego musiałem dobrze wytężać wzrok w poszukiwaniu odrobiny zieleni. Znaleźć ją mogłem w nadrzecznych zagajnikach zwanych tugajami. Są to osobliwe lasy bardzo trudne do przebycia. Rosną tam topole, oliwniki, wierzby, rokitniki, berberysy, głóg, powojnik wschodni, ciemiężnik i inne pnącza. Niektóre z tych roślin służą do wyrobu

olejków eterycznych, barwników, żywic i smoły. Zieleń w zimie zanika, a latem przykryta jest siną powłoką kurzu. Afganistan ma zwykle barwę wyschniętej gliny. Tylko na wchodzie, w Nuristanie, jest więcej lasów, w których rosną sosny, świerki i jodły.

Zapachy rozmaitych roślin wyczuć można w najmniej oczekiwanych momentach. Nawet w zimie unoszą się niekiedy spod śniegu cudowne wonie. Wystarczy odrobina wilgoci, a wyschnięte badyle wydzielają eteryczne olejki, których zapach snuje się w czystym powietrzu. Ziemia afgańska pachnie jak sady pomarańczowe w Kalifornii. Bogactwo zapachów równa się bogactwu smaku owoców, ostrych przypraw i mocnej herbaty.

Jadąc z zachodu, aby zobaczyć barwy gór i stepów Afganistanu, poczuć smak świeżych granatów i zapach unoszący się nad śniegami, trzeba przebyć irańskie i tureckie góry i przełęcze, przejechać wzdłuż obszernej pustyni rozciągającej się na południe od Morza Kaspijskiego. Jedzie się drogami bez nawierzchni, omija się zdradliwe rozlewiska rzek i strumieni, które potrafią zatapiać w oka mgnieniu drogi. Unikać też musi wędrowiec spotkania z watahami wilków, które potrafią być bardzo niebezpieczne podczas ostrej zimy. W górach afgańskich, oprócz wilków, żyją śnieżne pantery, niedźwiedzie, archany, kozy i barany. Poza tym są w tym kraju szakale, hieny, dziki tugajskie, rysie, jelenie, zające, lisy, dzikie osły i małe gryzonie. Do obrony

przed dzikimi zwierzętami, pasterze używają ogromnych owczarków. Wśród błot i na rozlewiskach rzecznych znaleźć można gęsi, kaczki, łabędzie, bekasy. Na pustyni żyją pustynne kruki. Są też bażanty, kuropatwy i dropy. Dokuczliwe bywają jednak nie duże zwierzęta lecz komary, pajęczaki i szarańcza. Oczywiście dzikich zwierząt nie spotyka się przy drodze, ale wystarczy przystanąć gdzieś, odejść na bok, a zauważyć można choćby czarną sylwetkę kruka widoczną wyraźnie na tle żwiru albo piachu. Dalej w step zapuszczać się można tylko przy zachowaniu ostrożności. Najbezpieczniej trzymać się drogi.

Droga do Afganistanu z zachodu jest jedna. Wokół kraju biegnie też tylko jedna droga dobra na tyle, by można było poruszać się po niej samochodem. Ale i po tej drodze przejechać zdoła jedynie dobrze przygotowany samochód. Drogi żelaznej brak w Afganistanie.

Odpowiednikiem kolei transsyberyjskiej jest system dróg biegnących od Istambułu do Indii, a dalej do Indochin i na Półwysep Malajski. Jest to trasa transazjatycka. Ten południowy szlak nie jest wygodniejszy od północnego, ale za to jest bardziej urozmaicony choćby pod względem klimatycznym, bo gdy w górach panuje zima, z wysokich przełęczy zjeżdża się szybko w strefy o umiarkowanych nawet zimą temperaturach.



Góry w Afganistanie.

Udając się z Polski na wschód w 1977 roku, pojechałem Orient Expresem z Sofii do Istambułu, a dalej samochodami ciężarowymi jako przygodny pasażer. Nim dojechałem do Indii, a potem do Japonii, byłem w Iranie, w którym panował szach i w Afganistanie nie tkniętym jeszcze przez pociski sowieckich czołgów i śmigłowców. Przecinając w okolicy Morza Kaspijskiego szlak wędrówki armii generała Andersa, myślałem o losach swoich kuzynów, którym udało się wydostać z wojskiem polskim z „nieludzkiej ziemi”. Jako dzieci zbyt osłabione, aby przetrwać transport do Europy, zostali oni skierowani do obozów dla uchodźców zorganizowanych w Pakistanie i Indii. Dopiero po wojnie dostali się do Anglii. Ja starałem się dotrzeć przez Azję do

Australii bądź do Ameryki. W Indii mieszkałem przez kilka miesięcy.

Udało mi się przejechać przez Afganistan w okresie względnego spokoju w tej części świata. W czasie podróży nie znalazłem się w żadnym większym niebezpieczeństwie. Dopiero w Indii trafiłem do szpitala, ale nie z powodu jakichkolwiek ran od kuli czy noża, a jedynie z powodu choroby, której uległem osłabiony podróżą i utrzymywaniem skromnej diety z powodu koniecznych oszczędności. Jadąc przez Afganistan odczuwałem już zmęczenie, bo wybrałem się w tę drogę bez należytego przygotowania i rozeznania, mimo iż wypytałem przed wyjazdem kogo tylko mogłem i wyczytałem co tylko znalazłem na półkach bibliotek. Wtedy nie można było korzystać w Polsce z pomocy biur podróży w takim stopniu, w jakim to dziś jest możliwe. Kierowałem się na przełęcz Khyber, by dotrzeć do cieplejszego klimatu w Pakistanie. Miałem dość widoku ośnieżonych gór, tęskniłem do ciepła tropiku, do zielonych dolin zamieszkałych przez ludność osiadłą, nie tylko przez wędrujących swoimi ścieżkami nomadów.

Duża część ludności Afganistanu to właśnie wędrujący koczownicy, z których wielu trudni się hodowlą owiec karakułowych. Obszary rolnicze nie są zbyt rozległe. Uprawa roli wymaga irygacji, a kanały irygacyjne bywały często niszczone przez najeźdźców. Jadąc przez kraj odnosi się wrażenie, że jest on niemal bezludny. Miasta, poza Kabulem, są małe, nie

przyciągają wielkiej liczby mieszkańców, jak dzieje się to na przykład w Iranie. W latach siedemdziesiątych nie było tam wyraźnych śladów rozwoju, jakiego nadał swemu krajowi szach Reza Pahlawi. Podczas mego pobytu, rządy w Afganistanie sprawował gabinet prezydenta Mohammada Daouda. Został on stracony po najeździe sowieckim w 1978 roku. Po nim trzech prezydentów przejmowało ster rządu i wszyscy podzielili los Daouda. Specyficzne warunki, jakie zapanowały po najeździe i w jakich rozmaici przywódcy dochodzili do władzy, a potem byli usuwani, nie miały precedensu w historii kraju, obfitującej skądinąd w niezwykłe wydarzenia. Od setek lat Afganistan był terenem krwawych zmagań. Niektóre armie zdobywały kraj dla obcych władców, inne przechodziły tylko, by podbić dalej położone ziemie. Dążyły na południowy wschód, transazjatycką, rzec by można, trasą. Szły przez przełęcz Khyber.

Zapewne niewiele jest na świecie przełęczy o tak ważnym znaczeniu strategicznym. Jest to jedyna droga, którą przejść mogły wojska dążące na podbój Indii. Tędy właśnie prowadzili swe armie Aleksander Wielki i Tamerlan. Burzliwa historia Afganistanu przyczyniła się do powstania opinii, że jest to kraj, którym nie sposób rządzić. Jednak nie tylko to było przyczyną jej powstania. Krajem tym rządzą warunki naturalne w większym stopniu niż ludzie. Wysokie góry i pustynie na obszarach niżej położonych, gdzie mieszkańcy usiłują z trudem uprawiać rolę, pora deszczowa, która trwa krótko – od grudnia do kwietnia.

Ponadto, nie zawsze opady są obfite. Lato natomiast jest niezwykle upalne i zupełnie suche. Na obszarach górskich jest duża rozpiętość temperatur. Podobny klimat mają Himalaje i Tybet. Czy można się dziwić, że ludzie nawykli do walki z przyrodą niełatwo ulegają woli innych ludzi?

Podróżowanie po kraju, w którym nie ma kolei, a bitych dróg także niewiele, nie należy do przedsięwzięć najłatwiejszych. Owszem, przejazd przez Afganistan możliwy jest dzięki drogom, których nawierzchnie zbudowali obcokrajowcy, a które tworzą wielką obwodnicę. Jednak drogi zaznaczone na mapie kończą się niekiedy przerywaną linią. Kilkanaście małych lotnisk (poza jednym dużym w Kabulu), które są rozsiane nieregularnie po kraju, w nieznacznym tylko stopniu ułatwia transport.

Drogę z Islam Qala (miejscowości położonej na północy, tuż przy granicy z Iranem) zbudowali Amerykanie w 1968 roku. Wcześniej Brytyjczycy położyli nawierzchnię asfaltową na odcinku Kandahar-Kabul. Rosjanie natomiast ułożyli betonowe płyty między Heratem i Kandaharem. Zostały one ułożone nierówno, nawet prowadzenie dużych samochodów ciężarowych nie jest łatwe, a tym mniej osobowych. Zmniejszenie szybkości nic nie daje, gdy kabina kierowcy podskakuje na kolejnej płycie, a reszta ciężarówki znajduje się jeszcze na poprzedniej, tak więc wszystkie części samochodu wystawione są na ciężką próbę wytrzymałości. Trudno wprost uwierzyć, że budowniczowie

myśleli o ruchu samochodowym, a nie o transporcie czołgowym. Przyznać jednak trzeba, że gąsienice czołgów niszczą łatwiej asfalt niż beton.



Dzieci w Afganistanie.

Nim cyrkowe niemal wyczyny bułgarskiego kierowcy pozwoliły zbliżyć się nam do Kandaharu, wcześniej tego dnia widziałem Herat. Niestety tylko z daleka. Nie przyjrzałem się więc wspaniałym murom starego miasta, ani ogromnemu meczetowi Masdżid-e Dżami. Nie widziałem też na bazarach dywanów, kilimów, pięknie barwionej wełny i jedwabiu, niebieskiego szkła

herackiego, biżuterii z lapis lazuli, ani snycerskich wyrobów, mis i dzbanów z mosiądzu i miedzi. Jednak zdążyłem zauważyć, że miastu słusznie należy się sława „miasta stu tysięcy ogrodów". W dzielnicach podmiejskich widziałem delikatne odcienie świeżej zieleni wokół domów z wysuszonej na słońcu ugrowej cegły i na tle murów, które otaczały ogrody. Z drogi biegnącej wyżej niż leży Herat, zobaczyłem parterową przeważnie zabudowę. Ulice są szerokie i proste, wysadzane wysokimi sosnami. Wodę rozprowadzają wąskie kanały. W śródmieściu mniej drzew, ale za to więcej starych murów. Miasto, niegdyś intelektualna stolica Środkowej Azji, wydawało się raczej stolicą dużego powiatu niż metropolią. Chociaż Herat nie leży bezpośrednio nad rzeką, to dolinę heracką wyrzeźbiła właśnie rzeka Hari Rud. W żyznej okolicy na łagodnych zboczach uprawia się pszenicę. Przez okno ciężarówki widziałem jak rolnicy zaczynali już w lutym wiosenne prace na polach.

Za Heratem droga biegnie przez pustkowie. Wkrótce przekraczamy granicę prowincji Farah. Trzeba opłacić „rogatkowe", które pobiera żołnierz ze starym modelem karabinu w dłoni. Podnosi lekki szlaban, można jechać dalej. Na każdej prowincjonalnej granicy pobierane były takie same, niezbyt wygórowane opłaty. Czasem, z dala od drogi, pojawiały się ciemne namioty koczowników i małe wsie otoczone skrawkami ziemi uprawnej z trudem wydzieranej stepowi. Pola zabezpiecza się przed erozją pryzmami kamieni. Na stokach

górskich pola tworzą tarasy podobne to tych, jakie zobaczyć można na Dalekim Wschodzie, w Chinach czy Japonii. Nie zajmują jednak wiele miejsca na zboczu góry. Przy polach pojawiały się pojedyncze domy, a przy nich stosy drewna na opał, cennego w tych rejonach, gdzie drzew jest mało. Drewno jest przedmiotem handlu Przenoszą je ludzie na własnych plecach, obarczają nim muły, osły i wielbłądy. Zwierzęta i ludzie niosący suche gałęzie wyglądają z daleka dość osobliwie. Stosy gałęzi sterczą zwykle wysoko nad grzbietem zwierzęcia lub głową człowieka. Wygląda to tak, jakby góry chrustu poruszały się same, dopiero po chwili widać, że to nie czarodziejska siła je przenosi. Czasem idzie cała procesja: na przedzie wielkie stosy niesione przez wielbłądy, za nimi mniejsze umieszczone na grzbietach osłów i mułów, a na końcu także i człowiek ugina się pod ciężarem.

Po kilku godzinach jazdy góry znajdują się już tylko po lewej stronie drogi. Na prawo wznoszą się samotne skały na zupełnie płaskiej równinie. To obrzeża pustyni Margo, która na wschodzie łączy się z pustynią Arbu Lut. Przed Kandaharem przecinamy rzekę Helmand, jedną z trzech największych rzek Afganistanu. Dwie inne to Kabul i Amu Daria, wzdłuż której biegnie część północnej granicy państwa. Przed zachodem słońca znajdujemy się wciąż w prowincji Helmand. Jedziemy w kierunku południowo-wschodnim. Błękitna kopuła nieba nabiera różowego odcienia, ale róż przechodzi szybko w purpurę. Czyste powietrze

nie odbiera nic intensywności barwom, które rozlewają się po całej ziemi. Im niżej stacza się kula słońca, tym wyżej na zboczach gór i na niebie wznosi się barwny krąg światła. Wygląda to tak, jakby światło zlewało się z powrotem do swego źródła.

Noc spędzamy w Kandaharze. Miasto czai się w mroku naftowych lamp zapalonych przy wciąż jeszcze otwartych kramach z warzywami i owocami i w świetle elektrycznym przy znakach drogowych. Innych świateł elektrycznych brak z uwagi na oszczędności energii, albo awarię w elektrowni. U przydrożnego piekarza kupujemy świeży chleb afgański, długi i płaski. Jest wspaniały, został właśnie wyjęty z małego pieca opalanego węglem drzewnym. Jestem zbyt zmęczony by zwiedzać miasto. Cyrkowe podskoki na wielu kilometrach drogi zmęczyły bardziej niż jazda na półdzikim koniu. Jutro trzeba ruszać w dalszą drogę. Nie zobaczę więc ani jednego z czterech bazarów, gdzie można znaleźć haftowaną pięknie odzież i czapeczki, naczynia z drewna, wyroby ze srebra i złota. Nie spróbuję, jak smakują sławne winogrona (jest ich podobno kilkanaście gatunków), figi, morele, brzoskwinie, melony, arbuzy i granaty. Zasypiam marząc o sokach owocowych.



Ghazni.

Rano kierujemy się w stronę Kabulu, znowu pod górę. Wjeżdżamy w niezmiernie długą dolinę zostawiając za sobą równinę pustyni. Wspinamy się powoli na wysokość 2100 metrów, potem zjeżdżamy nieco niżej w dolinę, w której leży stolica Afganistanu. U wylotu doliny Tarnak zaskakuje nas zimny wiatr, trzeba włączyć ogrzewanie w kabinie samochodu. Na szczęście nie jest on zbyt silny, ale wędrowcy muszą się strzec takiego wiatru. Nabiera on często mocy górskiego huraganu i biada temu, kogo zaskoczy na górskiej przełęczy. Na zboczach gór pojawiają się znowu duże płaty śniegu, jak w okolicach przed Heratem. W dolinie coraz więcej osiedli, których architektura różni się od dotychczas spotykanej. Zamiast dachów w kształcie przeciętych walców i kopuł, budowane są tutaj domy-warownie otoczone wysokimi murami. Wewnątrz czworoboku zamkniętego

murem, za potężną bramą, jest wolny, obszerny dziedziniec. Niektóre ogrody otoczone są również wysokim, glinianym murem.

Dojeżdżamy do Ghazni, którego zabudowania rozrzucone są malowniczo na stokach górskich i na dnie doliny. Domy stoją przeważnie w pewnym oddaleniu od siebie. W tych, które położone są poniżej szosy, można jak na dłoni obserwować toczące się za murami życie. W tej okolicy ludność trudni się hodowlą owiec i sadownictwem. Słynne są doskonałe „rodzynkowe" winogrona, granaty (podobno najlepsze na świecie) i brzoskwinie. Uprawia się też pszenicę i rośliny motylkowe. Nad miastem pełnym krętych ulic górują minarety i twierdza otoczona szczególnie grubym, glinianym murem.

Wreszcie Kabul, miasto wypełniające obszerną dolinę, pośrodku której sterczy olbrzymia skała. Niektóre dzielnice trzymają się kurczowo zboczy tej skały, stopniami podchodzą aż pod pionową ścianę. Jedną z dzielnic Kabulu był zbudowany długo przed inwazją tzw. Ruski Kwartał (nazywany tak i przez przechodniów i twórców lokalnych map). Podobno tylko w tej dzielnicy można pić wodę bez konieczności gotowania, tam więc udaliśmy się, by u polskiego inżyniera poprosić o napełnienie zbiorników. Architektura tego „kwartału" przypomina do złudzenia brzydkie dzielnice miast wschodniej Europy czy Moskwy. Długie bloki mieszkalne są przeważnie czteropiętrowe, podzielone klatkami

schodowymi prowadzącymi do kilku mieszkań w jednej klatce. Nawierzchnie ulic pokryte są asfaltem, utrzymane w czystości. Stanowi to duży kontrast z zresztą miasta, którego boczne ulice tchną odorem zgnilizny mimo zimowych warunków, a wygląd głównych ulic każe myśleć o Kabulu jako o mieście zajmującym miejsce pośrednie między dość nowoczesnym Teheranem, a najgorszą nędzą azjatycką zaułków Kalkuty. Jednak pozory mylą. Polski inżynier spotkany w Kabulu zapewniał, że niejeden ze zwykłych przechodniów w zabłoconych butach byłby nader mile widzianym klientem szwajcarskiego banku. Nie należy mylić zabłoconych butów z pustym portfelem. Dzielnicy rosyjskiej nie wypełniał kolorowy tłum Afganów. Jasnowłose dzieci bawiły się na obszernych placach i wątpię, czy potrafiłyby się porozumieć z rówieśnikami o czarnych włosach. Mimo utrzymywanej względnej schludności i porządku, mimo tego, że Słowianin wyczuć mógł pewien swojski nastrój panujący w tej enklawie oddzielonej niewidzialnym murem od otaczającej zewsząd Azji, mimo wszystko – bezduszna, standardowa zabudowa tworzyła coś niesłychanie sztucznego, niedopasowanego żadną miarą do reszty miasta. Gdyby nie dzieci, można by było przypuszczać, że „ruski kwartał" to olbrzymie koszary, nie dzielnica mieszkaniowa.

Zaśmiecone, pokryte błotem ulice Kabulu tętniły życiem. Może nie tak wartkim, jak sto lat wcześniej, kiedy w mieście było osiemdziesiąt meczetów i piętnaście karawanserajów. Na

bazarach sprzedawano wtedy towary z Indii, Rosji, Wielkiej Brytanii oraz rodzime wyroby takie jak muszkiety, rusznice, pistolety, miecze, kindżały i tarcze. Oczywiście nie brakowało tkanin i dywanów. Nie brakowało ich też w wieku dwudziestym, choć muszkietów i rusznic nie widziałem. Dywany i kilimy afgańskie nie są tak jasne, jak dywany indyjskie czy perskie. Ich barwy utrzymane są w ciemnej tonacji. Odzież noszona na co dzień wygląda elegancko, może dlatego, że jest to odzież tradycyjna. Mężczyźni noszą obszerne szarawary ściągnięte u pasa, długie koszule wpuszczone w spodnie i kamizelki. Na plecach mają narzuty, bawełniane lub wełniane chałaty. W zimie noszą półkożuszki, futrzane kamizelki. Na głowie mają obszerne zawoje wokół czapeczek podobnych do biretu. Kobiety noszą również ciemne stroje, bufiaste spodnie, długie koszule lub suknie. Twarze zasłaniają chustami. Z głowy spływa długa aż do ziemi, marszczona narzuta. Postać w takiej narzucie wyglądała pięknie, zwłaszcza w ruchu lub na wietrze.

Magazyny dywanów, kilimów i tkanin, pracownie rzemieślników, sklepy i kramy z warzywami i owocami, piekarnie skąd unosiła się woń chleba – otwarte były ku ulicom, pozbawione drzwi i okien wystawowych. Przechodnie mogli z zewnątrz śledzić pracę tkaczy, kuśnierzy i kaletników. Fryzjerzy pracowali na chodnikach, mimo dość niskiej temperatury. Golili włosy i strzygli ciemne brody klientów, którzy przykucali przy krawężniku, czasem przysiadali na stołku lub krześle. Szewcy

rozkładali swoje narzędzia też na chodnikach, na skrawku płótna, albo trzymali je w otwartym drewnianym lub metalowym pudle. Naprawdę bogato wyglądały jedynie apteki. Ich wnętrza odgrodzone były od ulicy dużymi oknami, drzwi pozostawały zawsze zamknięte. Nędza i zniszczenie nastały dopiero w dniach sowieckiej inwazji.

Co spotykało najeźdźców, którzy zapuszczali się w góry Afganistanu, doświadczyli już Anglicy. O ich klęsce myślałem jadąc z Kabulu dalej na wschód, przez Chord Kabul. W styczniu 1842 roku cztery i pół tysiąca żołnierzy generała Elphinstone'a wycofywało się właśnie tą trasą na Dżalalabad. Towarzyszył tej armii dwunastotysięczny tłum cywilów. Atakowani w wąskim, głębokim kanionie żołnierze nie mogli się bronić. Do małej wsi u wylotu kanionu dotarło tylko kilkunastu jeźdźców. Zatrzymali się na krótki postój, lecz rano wymknął się ze wsi tylko jeden samotny jeździec, lekarz wojskowy Brydon. Podarowano mu życie, by mógł donieść wieści o strasznej klęsce do Dżalalabadu. Zajęty myślami o klęsce Brytyjczyków nie podejrzewałem, że już wkrótce czytać będę w prasie amerykańskiej o kolejnym najeździe i kolejnej klęsce najeźdźców.

Wyjechaliśmy z Kabulu o świcie, ale w miarę jak zjeżdżaliśmy w dół robiło się ciemniej, gdyż promienie słoneczne z trudem docierały do dna pogłębiającego się kanionu. Wody rzeki Kabul wyrzeźbiły w skałach przełom inaczej niż wody rzeki Colorado,

lecz rzeźba to nie mniej fantazyjna. Wąska droga wije się niebezpiecznymi serpentynami, zakręty zmuszają kierowcę do maksymalnej ostrożności. Tylko chwilami można zdjąć nogę z hamulca. Wreszcie skały się rozstępują, wzrokiem sięgnąć można aż po daleki horyzont. Natychmiast robi się cieplej, zima została za nami. Pojawiają się zieleniejące pola i drzewa wokół wsi, których zabudowania mają obronny charakter. Siwy starzec ubrany na biało z obszernym płatem pomarańczowego płótna przerzuconym przez ramię idzie wśród pryzm czarnej, wilgotnej ziemi i miarowym ruchem sypie ziarno. Inne postacie w barwnych strojach odcinają się nie mniej wyraźnie od ciepłego brązu zaoranych pól i wśród szarawych, nie poruszonych jeszcze drewnianą sochą płatów ziemi. Inaczej niż w mieście, ludzie pracujący na polach ubrani są często w stroje jasne o bardziej żywych barwach. W Nuristanie, prowincji położonej na południowym wschodzie Afganistanu, uprawia się proso i kukurydzę. W sadach rosną orzechy i oliwki. Stąd pochodzą też aromatyczne gatunki miodu. Jest to kraina zalesiona, rosną tu dęby i drzewa iglaste, w oazach palmy i drzewa figowe. Dociera tu osłabiony monsun.



Góry w Afganistanie.

W okolicy Dżalalabadu zaskakuje nas burza pyłowa. Silny wiatr unosi z wysuszonej ziemi drobny pył, który tworzy gęstą mgłę. Promienie słońca przenikają przez nią z trudem. Widoczność ograniczona jest do kilkudziesięciu metrów. Cienie przydrożnych drzew są dzięki temu widoczne już w powietrzu. Sylwetki pni i gałęzie są natomiast niewyraźne, co sprawia wrażenie iż cień i przedmiot zlewają się ze sobą. Pył rozmywa dalsze plany, skraca perspektywę i zniekształca ją. Rzeczy niezbyt odległe wydają się ustawione dalej niż są naprawdę. Pył wciska się do kabiny samochodu mimo, że okna są zamknięte. Pełno go w gardle i w nosie. Ludzie oderwani nagle od robót w polu wracają do domu zakrywając twarze skrawkami płótna. Niosą na ramionach

narzędzia rolnicze o kształtach, jak z ilustracji w podręcznikach historii.

W pewnym momencie w chmurze pyłu zjawia się i zaraz znika troje ludzi. W środku świata Koranu scena jak z Biblii: wspierający się na długim kiju mężczyzna prowadzi osła, na którym siedzi kobieta chroniąca w ramionach dziecko.

Podczas gdy rzeka Kabul wciąż dąży ku Indusowi, my skręcamy tuż przed granicą znowu w stronę gór. Przez przełęcz Khyber, która zwęża się znacznie miejscami, lecz nie tak bardzo, jak kanion rzeki Kabul, przejeżdżamy do Pakistanu.

Kiedy wspominam Afganistan, wracam myślami zwłaszcza do ostatniego dnia pobytu w Kabulu. Za miastem, na dużym placu widziałem tłum ludzi. Byli odświętnie odziani, niektórzy mieli na sobie europejską odzież. Rozbawione dzieci biegały wokół czarnych powozów. W tych powozach z innej epoki przyjechały rodziny na święto latawców. Były też nowocześniejsze samochody i dorożki. A nad głowami radosnego tłumu wzbijały się wysoko kolorowe latawce. Na tle ciemnych gór i głębokiego błękitu nieba mieniły się wspaniałymi barwami raz po raz prześwietlane promieniami słońca. Jednym z zakazów wydanych przez Talibów był, jak słyszałem, zakaz puszczania latawców.

Terminowanie „Gabito”. Gabriel García Márquez (1928–2014).



Gabriel García Márquez.

Florian Śmieja

Bujam się miarowo w pasiastym hamaku, pod sklepieniem z palmowych liści. Choć to grudzień, skwary nie ustają, tylko wilgoci mniej. Brązowa wiewiórka zwinnie biega po cienistym drzewie fikusowym. Koło basenu słychać szczebiot drobnych, młodych Metysek, które co chwila z udanym przerażeniem wpadają do wody. I wcale nie są to bezwolne ofiary rezolutnych

chłopaków, wrzucających je do kąpieli, ale tak właśnie wyglądają odwieczne gry młodych.

Z plaży dolatują odgłosy mozolnego uderzania: to śniady mężczyzna w słomkowym kapeluszu rozbija maczetą świeże orzechy kokosowe. Palmy, wysokie, dobrze utrzymane, mają tak jak u nas owocowe drzewa, wapnem bielone pnie, a w ich dostojnych liściach, kołyszących się na wietrze, gwiżdżą czarne, lśniące ptaki o długich ogonach. Zza parkanu przeziera duży napis, nazwa sąsiedniego hotelu: Macondo. Tak jak niegdyś na tej ziemi szukano upragnionego Eldorado, tak teraz kusi, by gdzieś konkretnie umiejscowić mityczną osadę założoną przez Joségo Arcadio i Ursulę Buendia Iguarán, odnaleźć utopijną społeczność, śmieszną, a zarazem tragiczną, żyjącą w czasie historycznym, ale przecież złudnym i wirtualnym, jak byśmy dziś powiedzieli, wydaną na żer zwątpieniu, oddaną snom bardziej niż rzeczywistości, łaknącą nowości, a zakotwiczoną w tradycji. Macondo czyli Nigdzie, ale i Macondo jako Wszędzie, miniatura losu ludzkiego, nie tylko okruch egzotycznej Kolumbii.

Gdzieś w pobliżu muzykuje spotkany wcześniej na ulicy młody gitarzysta. Od czasu do czasu słychać jego tęskne słowa:

Un poquito de cariño yo te pido

un poquito de cariño, nada más.

Ten hotel pod Santa Marta, najstarszym miastem na tym kontynencie, założonym przez Hiszpanów, o pięknej zatoce i dumnej karcie historycznej, bo m.in. tu umarł bohater walk o wyzwolenie Ameryki Południowej spod władzy Hiszpanów, Simón Bolivar, znajduje się przecież w miejscu równie odpowiednim, równie trafnym jak inne: góry niebotyczne zagradzają przejście, a za tym łańcuchem gór nie do przebycia leży Riohacha ze wspomnieniami Francisa Drake'a. A i do Cartageny nie tak daleko czy do Aracataca, miasta związanego z Gabrielem Garcią Márquezem.

Lokalni Indianie siedzący nadal w niedostępnych górach, jak informuje bogate muzeum w Santa Marta, wyobrażali sobie świat w kształcie jaja złożonego z dziewięciu warstw. W środkowej umieścili siebie, pod nimi leżały światy gorsze, nad nimi, lepsze. Liście koki sprawiały, że życie było do zniesienia: miały moc zamazywania ostrych konturów rzeczywistości. Dorastającym chłopcom w czasie obrzędów wręczali fajeczkę, *poporo*, do koki zmieszanej z mieloną muszelką.

Taką to magiczną ziemię porzucił Garcia Márquez, kiedy zapisał się w 1947 roku na studia prawnicze w Bogocie i zamieszkał w pensjonacie przy ulicy Floriana. Po nocach pisał opowiadania. Jedno z nich pod tytułem *Trzecia rezygnacja* zaniósł do redakcji

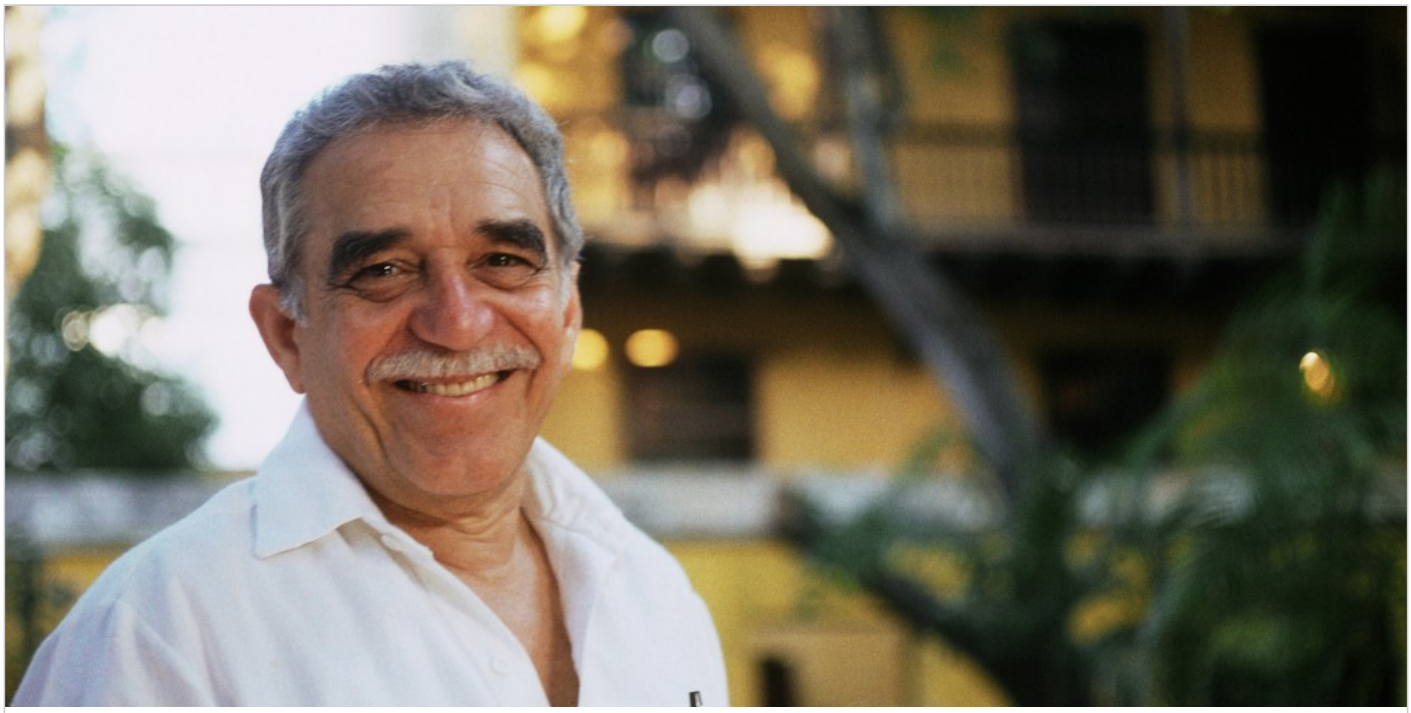
gazety „El Espectador”, która zapraszała młodych pisarzy do współpracy. Dodał karteczkę ze słowami *Przeczytałem Pańską notatkę i załączam opowiadanie. Proszę drukować, jeżeli się nadaje, jeśli nie, podrzeć*. Kiedy opowiadanie się ukazało, Márquez musiał pożyczyć 5 centów, by kupić egzemplarz pisma. Ogłosił tam jeszcze kilka opowiadań. Zanim wybuchły w Bogocie krwawe rozruchy po zamordowaniu liberalnego przywódcy Gaitana, Márquez opuścił niebezpieczną stolicę i powrócił na wybrzeże. W Cartagenie zapisał się ponownie na prawo i udał się wprost do Manuela Zabali, redaktora naczelnego, nowo założonego dziennika „El Universal” z wydrukowanymi w piśmie „El Espectador” opowiadaniami. Okazało się, że Zabala je już czytał i zatrudnił z miejsca młodego pisarza. Tak więc w Cartagenie, o której bezskutecznie marzył Cervantes, otrzymał pracę dziennikarza i reportera dwudziestoletni Gabriel Garcia Márquez, którego przezwano „Gabito”.

I tak zaczął się krytyczny dlań etap lat 1948–1949. Jako początkujący reporter, piszący po nocach opowiadania, doszedł do przekonania, że zarówno dziennikarstwo jak pisarstwo wywodzą się z tych samych korzeni.

Podupadła kolonialna Cartagena była jednym ogromnym cmentarzyskiem wielkich imperialnych wydarzeń. O lepszych czasach świadczyły niezwykłe mury miasta i forty, masywne budowle publiczne i okazałe rezydencje z typowymi hiszpańskimi

balkonami. Cienie bohaterów owych czasów, echa ich zasług i występków błądziły po wąskich uliczkach, Márquez słuchając opowiadań o żonie czterokrotnego prezydenta, Soledad, zauważył że to dobre imię dla powieściowej heroiny. Słuchał pilnie, kiedy inni mówili, przytakiwał i rozmyślał. Chłonął baśniową atmosferę historycznego miasta. Był małomówny, poważny, pilnie obserwował. Cechowała go delikatność w obejściu i kultura w mowie. Koledzy wspominają go jako człowieka, który nigdy niczego nie potrzebował, nie narzekał na swoją sytuację, nie mówił o zarobkach. Miał fantazję, gdy wespół z kolegą redakcyjnym wymyślał postacie, pisał o nich, a nawet fingował rozmowy z nimi. Kiedy przez miasto przejeżdżali wybitni artyści jak Yehudi Menuhin, czy uczeni i pisarze, Dámaso Alonso, reporterzy mieli okazję zbliżyć się do nich i poznać ich osobiście. Skorzystał z tego również Márquez wręczając swoje opowiadania żonie Dámasa Alonso, powieściopisarce Eulalii Galvarriato. Kiedy wyjeżdżała, zwróciła teksty bez słowa komentarza. Innego rodzaju atrakcją był mag i fakir, który brał do ust stopiony ołów, a językiem dotykał rozpalonego żelaza. Celebrowano lądowanie pierwszego samolotu cywilnego w pobliskim Barranquilla, inaugurującego regularną komunikację. Ktoś propagował odmładzające serum francuskie. Tymczasem na arenie politycznej dopuszczano się represji i mordów, policja ostrzelała procesję religijną. W prasie dominowała polityka i gwałty.

Jako student Márquez wziął udział w wyborach królowej studentów, a wygłoszona z tej okazji jego mowa przysporzyła mu więcej uznania niż jego dotychczasowe osiągnięcia pisarskie. Wybory wywołały zatargi, podziały i ściągnęły polityczne represje, pozostawiające cierpki smak kolumbijskiej rzeczywistości. Tymczasem Márquez przepadł na egzaminach uniwersyteckich, orzekł. że prawo nie było mu pisane i postanowił zdawać na dziennikarstwo. Odgrażał się, że wyjedzie do Wenezueli, gdzie płacono lepiej, a on będzie mógł pisać książkę. Marzył jednocześnie o zbudowaniu dla siebie idealnego domu w Cartagenie, z którego okiem mógłby przez dzień cały oglądać mury miasta i morze.



Gabriel García Márquez.

Zaczął bywać w siedzibie gazety pełnej duchów i widm: księdza bez głowy oraz tajemniczego pracownika piszącego na maszynie do świtu. Chodził nad Zatokę Dusz na molo, tętniące życiem dzień i noc. Wspomina jak w czasie posiłków w jednej z tamtejszych restauracji słuchał opowiadań i plotek, i jak z tego materiału powstawała następnego dnia gazeta. „Gabito" lubił wybijać takt na stole, podśpiewywać i opowiadać anegdoty. Fascynował słuchaczy, choć mówcą nie był. Miał szaloną wyobraźnię. I tak to trwało do świtu, kiedy na morze wypływać zaczęły kutry i łodzie. Tych nierealnych świtów młodości pisarz nigdy nie zapomniał. Ani opowiadań stróża, jak to bogacz kupił niewolnicę na wagę złota, a później musiał ją zabić, żeby wyzwolić się z jej czarów. I pokazywał na ścianę, za którą miała być pochowana, o oblężeniu Cartageny przez flotę Vernona, o ujęciu patrolu angielskiego, poćwiartowaniu żołnierzy i spożyciu ich ciał, o bandycie-magu, który tak znakomicie zabalsamował zwłoki wicekróla, co się utopił w zbiorniku wody, że rządził spokojnie dalej aż do przyjazdu następcy, w czasie gdy rozgorzało powstanie Murzynów. Takich to barwnych bajd słuchał „Gabito", zdolny prowincjusz, pukający nieśmiało do zamkniętego, tradycyjnego miasta. Fizycznie wątły, o szarej twarzy, nieatrakcyjny z wyglądu, a do tego ubierający się niedbale, chodzący z wypuszczoną koszulą, nazywany był za taką aparycję „cywilną odwagą". Chodził w żółtych koszulach, które zmieniał na targu na nowe.

O literaturze Márquez mógł rozmawiać do woli z naczelnym. Zabala był mężczyzną w sile wieku, niedużego wzrostu, rysy miał indiańskie, ciekawskie oczka za okularami. Nosił zawsze białe garnitury. Pisarz i liberał, był człowiekiem oświeconym oraz oczytanym w literaturze. Polubił zdolnego i pracowitego „Gabito" i poświęcił mu dużo czasu i mozołu. Koledzy początkującego wówczas reportera zgodni są w ocenie roli, jaką odegrał Zabala. Wspominają z wdzięcznością, że był ich dobrym duchem, doradcą i modelem artystycznym oraz osobistym, poprawiał ich dziennikarskie teksty. Nawet po latach sam Márquez przyznał, że Zabali zawdzięcza wiele z tego czym jest. Do starszego i doświadczonego redaktora mówił zawsze „maestro", a on był mu mistrzem znamienitym. Nie tylko rozmawiał z nim na temat literatury i podsuwał pisma stołeczne, ale systematycznie wprowadzał go w świat wielkiej, współczesnej powieści. Kazał mu oczywiście czytać Cervantesa, ale także Joyce'a, Unamuno, Faulknera, Hemingwaya, Wirginię Woolf, Dos Passosa, Steinbecka, Malaparte. Był motorem Márqueza, czytał, komentował i poprawiał jego twórczość, o której wyrażał się entuzjastycznie, wróżąc młodemu autorowi wybitną przyszłość literacką. Márquez wspomina czasy nauki mówiąc, że dowodem najlepszych robionych postępów były rzadsze ingerencje robione czerwoną kredką redaktora naczelnego. Zabala zalecił mu słuchanie muzyki klasycznej.

„Gabito" dużo pracował w nocy. Dopiero o świcie, po zamknięciu

gazety, kładł się na belach papieru w drukarni i spał. Duża część powieści *Sto lat samotności* powstała w lokalu drukarni przy ulicy San Juan de Dios. Wszystko co napisał pokazywał tylko Zabali, a ten czytał z wielkim entuzjazmem i poprawiał. Tak było też z jego pierwszą powieścią *Szarańcza*, którą autor przepisywał kilkakrotnie. Był już sławny jako znakomity twórca opowiadań, które z Cartageny nadal słał do Bogoty.

Zasadniczym jednak zajęciem było pisanie informacji i felietonów o trywiach życia miasta i okolicy, a także o niektórych wydarzeniach na świecie. Właściwie „El Universal" nie było pismem sensacyjnym. Jego nakład wynosił 1000-2500 egzemplarzy, interesowało się sceną polityczną, prowadziło kronikę towarzyską i śledziło codzienne życie miasta. Pisało więc o zabójstwie lokalnego przywódcy liberałów, choć sytuacja polityczna w Kolumbii w 1948 roku była niebezpieczna i w wielu felietonach odczuć można było unikanie drażliwych tematów, za to dużo rozwodzono się na tematy neutralne, językowe, literackie i sportowe.

Kiedy Márquez pojechał na urlop do Sucre, przywiózł stamtąd galerię portretów ludzi i krajobrazów. Strony rodzinne nagle zafascynowały go, a on postanowił zawłaszczyć sobie to odkryte bogactwo obrazów wybrzeża. Dotąd opowiadania jego nie odwoływały się do lat i kraju dzieciństwa, a w felietonach robił to sporadycznie i bojaźliwie. Nowe teksty ukazują radość młodego

człowieka odkrywającego swoje autentyczne korzenie, czarne kobiety, Indian schodzących z gór Santa Marta z naturalnymi lekarstwami i sekretnym lubczykiem. O tym wszystkim od tego czasu pisze z lubością i teksty swoje podpisuje nazwiskiem. Choć tego rodzaju tematy znikają na jakiś czas, powracają, widać ciągły nad nimi wysiłek, by znaleźć właściwy styl i trafne słowo, ton i klimat. Obserwujemy proces nieustannej modyfikacji, dojrzewania. Te zdarzenia nieco przerobione drukuje też w innych pismach, dodaje amplifikacje, przypisuje innym, nieznanym korespondentom, ukazując moc sprawczą, sugerującą bujną rzeczywistość i moc słowa. Znajdujemy powtórki, powoływanie się na anegdoty wcześniej drukowane w gazecie, choćby historię Octavia, który wypalił laskę dynamitu. Pisze o właścicielu cyrku, który zatonął w drodze z Kuby do Cartageny, cytuje Charlie Chaplina, wystawia się na krytykę biorąc w obronę lokalnego toreadora, cytuje Aldouxa Huxleya, dostrzegającego dokoła siebie symptomy „dzielnego, nowego świata". Nawiązuje też pierwsze kontakty z ambitną, młodą grupą intelektualną w Barranquilla. Staje się krytykiem poezji i prozy, wspomina rocznicę Edgara Allana Poe, pisze pierwsze artykuły o kinie, a nawet o… hodowli bydła w jednym z regionów kraju. Rzadko używa pseudonimu. Jednym z nich jest „Septimus", postać z powieści Wirginii Woolf. Márquez wyzna, że byłby zupełnie innym pisarzem, gdyby nie przeczytał powieści *Mrs Dalloway* i opisu zniszczenia, które niesie czas.

Zaczęły się ukazywać pierwsze recenzje i pochwały pisarstwa Márqueza. Opowiadania święciły triumfy, dostrzeżono oryginalne postacie, somnambuliczne i niezwykłe. To kontakt z ziemią dodał rumieńców nie tylko pisarzowi w czasie urlopów, ale i jego konfabulacji. Codzienne obcowanie z wieśniakami, proste, nieskomplikowane rozmowy, krajobrazy i czyste powietrze, stały się przemożną inspiracją, podobnie jak i całe niezwykłe miasto. Pamięta o gmachu konwentu klarysek, przemienionego w szpital Santa Clara, pełen tradycji i zmagań z morskimi wiatrami, bohaterski opór zakonnic, odpierających atak żołnierzy, którzy przyszli, by je z konwentu usunąć. Gmach ten później trafił do powieści, a obok niego powstał jego dom marzeń. W pułkowniku rozpoznano historyczną postać gen. Uribe. Pisarz zbiera drobne anegdotki, przerabia i tworzy magiczny realizm, prawdę-zmyślenie, w którą możemy uwierzyć.

Wspominał jego ojciec, że fantazję Márquez miał już od dziecka, widział jedno, a relacjonował co innego. Wszystko wyolbrzymiał, ale to łgarstwo nikomu nie szkodziło. Długo pisał wielką prozę pod tytułem *Dom* i z tej relacji wychodziły postacie i przepadały, powieść raz pęczniała, innym razem chudła.

Gabriel García Márquez.

Czytał niekiedy partie tej narracji innym, ale nikt nie ingerował w jego dzieło. Ktoś się wyraził, że Márquez nie jest twórcą, ale narratorem, zbieraczem i rekonstruktorem faktów. Vargas Llosa myśląc o penisie-olbrzymie w *Stu latach samotności* wskazywał na wpływ Rabelaisgo. Lecz po Placu Bolivara w Caratagenie kręcił się typek, Noli, który się szczycił nadzwyczajnym przyrodzeniem, personifikował je i opowiadał wiele anegdot. Márquez twierdzi, że w opowieści chciał przypomnieć swojego dziadka Gerinelda, który pokazał mu po raz pierwszy lód, lecz wiemy też, że Carlos Alemán, jeden z przyjaciół pisarza w Cartagenie, opowiedział mu historię Temistoklesa Delgado, który zabrał swojego syna, aby ten zobaczył dziw. Po ceremonialnym otwarciu skrzyni, przywiezionej łódką na dziedziniec Rady Miejskiej, oglądał jedynie mokre trociny. Lód się stopił. Wysłany przez swoją redakcję do krypty dawnego konwentu Santa Clara, zapamiętał długie włosy zmarłej kobiety mierzące 22 metry i 11 centymetrów. Przypomniała mu się opowieść babci o dwunastoletniej markizie, która miała włosy jak tren ślubny. Ukąszona przez psa zmarła na wściekliznę. Dokonywała cudów i czczono ją nad Morzem Karaibskim. W Turbaco sławny pułkownik Buendia walczył w wojnie tysiąca dni jako liberał. Odniósł ciężki postrzał. Kiedy go znaleziono, w ranie jego gnieździło się robactwo. Mimo to wyzdrowiał i zyskał rozgłos, że kule się go nie imają.

W owym czasie wyszła powieść rówieśnika, którą Márquez

omówił. Chwalił jego metodę polegającą na wychwytywaniu przeżyć na gorąco i przenoszeniu ich w świat powieści bez płacenia myta „laboratorium wyobraźni”. Żartuje, że autor będąc człowiekiem wsi, zna walory odżywcze mleka prosto od krowy. Przypuszcza też, że ma do czynienia z powieścią autobiograficzną. Gani natomiast powieść za niewyrobiony styl, za to, że wydana została za wcześnie. Chwali szczerość autora i bohaterów książki.

Autor tego prologu sam był w posiadaniu imponującego zwoju papieru, rulonu fantastycznej prozy, z której wyodrębniały się już wyraźnie osobne powieści, pełne autobiograficznych reminiscencji, ale ich twórca ciągle je jeszcze szlifował i przetwarzał, nie wypuszczał z rąk, zasięgał języka u znawców, korygował styl z Zabalą. Wypowiadając cytowane krytyczne opinie pod adresem debiutu przyjaciela, przedstawiał własne poglądy na powieść.

Po dwu latach wyjechał z Cartageny do pobliskiego przemysłowego miasta Barranquilla, gdzie obiecano mu pracę w lokalnym dzienniku i trzykrotnie wyższą pensję. Miał tam też kontakty z gronem interesujących młodych pisarzy, którzy posiadali bogate biblioteki. W Barranquilla wreszcie zamieszkała jego sympatia z Cartageny, Mercedes, nazwana przez Márqueza pieszczotliwie „Żyrafą”, z powodu długiej szyi. Pod takim też tytułem zaczął pisać swoją stałą rubrykę w „El Heraldo”, w

którym pracował od 5 stycznia 1950 roku.

Rok później bawił ponownie w Cartagenie, próbując tam osiedlić krewnych sprowadzonych z Sucre. Założył też periodyk „Comprimido" składający się z samych reklam i notatek. Pismo wnet jednak upadło.

Szczegóły życia lat spędzonych w Cartagenie i aktywności dziennikarskiej znamy dzięki trosce właściciela dziennika „El Universal". To on zbierał pieczołowicie wszystkie roczniki. Niestety, dziś brakuje w kolekcji kilku numerów pisma z 1948 roku, a co gorsze, również z 1951, kiedy Márquez drukował w nim serię reportaży z Sucre, m.in. o zabójstwie, w które zamieszani byli ludzie znani pisarzowi. Niepowetowana to strata, bo z tego materiału miała później powstać powieść *Kronika zapowiedzianej śmierci*.

Wspomnienia i opinie przyjaciół i współpracowników zebrał skrupulatnie energiczny, młody redaktor „El Universal", Gustavo Adolfo Arango, który je ocalił od zapomnienia i opublikował w tomie *Un ramo de nomeolvides* (Bukiet niezapominajek).

Spacerowałem z nim po przestrzennym, widnym, nowym gmachu naprzeciwko słynnego fortu San Felipe. Tam mieści się dziś redakcja i drukarnia „El Universal". Na korytarzu stoi linotyp – świadek dawnych czasów. Nowoczesna prasa rotacyjna i

pięciometrowe bele papieru ustawione w dużej hali są odpowiedzią na obecne zapotrzebowanie. W 1995 roku ten nowy budynek odwiedził Márquez, który przybył na otwarcie ufundowanej przez siebie szkoły dziennikarstwa. Tam odbyła się jej sesja inauguracyjna. W instytucji, w której pisarz zaczął się uczyć dziennikarstwa, jak powtarza, jedynej użytecznej rzeczy, jaką robił w swoim życiu.

Skorzystał z tej okazji Arango, który w czasie swoich badań przypisał Márquezowi różne krótkie teksty i notatki opublikowane w „El Universal" bez podpisu, konfrontując autora z innymi jeszcze tekstami dziennika, które także ukazały się anonimowo. Przeczytawszy jeden z nich pisarz zauważył: *Nie pamiętam, czy ja to pisałem. To możliwe. W notatkach tego typu zmieniałem styl, używałem tonu neutralnego, który jest nieomal nie do zidentyfikowania.* Notatkę o znalezieniu zamordowanego niemowlęcia w jednej z biednych dzielnic Cartageny, natychmiast rozpoznał jako swoją. Wobec innych załamał ręce. Może nikt już nie odgadnie ich autorstwa. Ale to jeszcze nie ostatnie słowo, bo pociesza się autor wspomnień*: Zawsze jeszcze coś pozostaje do powiedzenia*.

W dwóch światach jednocześnie

Dariusz Pawlicki

Dobrze pamiętam jak jeszcze niedawno, aby przenieść się w myślach w inne miejsce, odległe o wiele kilometrów, musiałem zamknąć oczy. Dopiero wtedy, gdy wizualna strona świata realnego, jakby przestawała istnieć, mogłem rozpocząć wizytę w owym „innym miejscu". Przy czym to przenoszenie mogło odbywać się tylko wtedy, gdy stałem, leżałem bądź siedziałem. A obecnie może mieć miejsce także podczas wędrówki. Zmieniło się także i to, że owe wizyty w odległych miejscach, nie ograniczają się tylko do tego, co widzę. Towarzyszą im bowiem doznania słuchowe, dotykowe, zapachowe.

Ale sprawa odwiedzania w taki sposób miejsc przedstawia się teraz jeszcze o tyle inaczej, że są one odległe o tysiące kilometrów. Przebywam przykładowo na Manhattanie. A konkretnie na Morton Street, w środku Greenwich Village, którą zresztą lubię. I będąc tam, przypatruję się ceglanym ścianom domów, okiennicom w niektórych oknach. Następnie chodnikom

ułożonym z dużych płyt kamiennych. Ale nagle przenoszę się na bliską mi Suwalszczyznę. Owe przenosiny, odbywają się prawie zawsze bezproblemowo, bez żadnego też okresu przejściowego. Po prostu w następnym momencie mogę znaleźć się, chociażby, na drodze leśnej wiodącej od Gościńca w stronę Przewrocia, a dalej ku Ciemnemu Lasowi nad Czarną Hańczą.



Dom przy Morton St., fot. D. Pawlicki.

Idąc po asfaltowej nawierzchni lub płytach kamiennych na wspomnianej Morton Street, odczuwam równocześnie pod butami miękkość piaszczystej drogi, a także, raz po raz, sztywność szyszki, świerkowej lub sosnowej. Pamiętam też wówczas o zwracaniu uwagi na wystające z ziemi grube korzenie. Zwłaszcza w jednym miejscu, gdzie wspomniana droga biegnie nieco w dół, jest ich wiele i są szczególnie grube. A za sprawą kolejnego deszczu, wypłukującego piasek i żwir, ukazują się następne. Przy tym niebo nad Greenwich Village, najczęściej błękitne z pojedynczymi lekkimi obłokami, jest równocześnie niebem nad lasem, przez który wędruję. Ów las znajduje się na północnych obrzeżach rozległej Puszczy Augustowskiej.

Wszystkiego tego, jak wspomniałem, doznaję na jawie. A przy tym moje oczy są otwarte. I wiem, gdzie przebywam ciałem i gdzie przebywam… duszą. No bo jeśli składa się na mnie ciało i dusza, a to pierwsze jest w jednym miejscu, więc w drugim musi być dusza; bo cóż innego?

Łatwość poruszania się po wspomnianym miejscu, jak i po innych na Suwalszczyźnie, wynika z wielokrotnego i długiego przebywania w nich wcześniej. A także, co jest chyba oczywiste, z tęsknoty za nimi. Myślę nawet, że tęsknota, w formie jakiegoś

zadośćuczynienia, daje mi w zastępstwie możliwość takiego podróżowania. W zastępstwie, gdyż nie zdarzy się żaden cud, i póki nie przelecę samolotem nad Atlantykiem, kora drzewa, którego dotknę, będzie korą drzewa rosnącego na przykład na Washington Square, a nie nad jeziorem Pogorzelec.

O przenoszeniu się w konkretny punkt na Suwalszczyźnie decyduje nastrój, pragnienie znalezienia się właśnie w nim, a nie gdzie indziej. Ale niekiedy powodem jest, co innego. Może to być na przykład…

Lipcowy dzień był gorący. Czuć też było w powietrzu wstrętną wilgoć. Jeszcze gorzej było, gdy znalazłem się w podziemiach, na ruchliwej stacji metra o nazwie Union Square na Manhattanie. I właśnie wtedy dotarło do mnie wspomnienie styczniowego, wczesnopopołudniowego dnia. Mróz był kilkunastostopniowy, ale nie wiał wiatr.

Ruszyłem z moim kuzynem ku brzegowi jeziora Pogorzelec. Weszliśmy na powierzchnię zamarzniętego jeziora. Jakakolwiek ostrożność w tym wypadku była najzupełniej zbędna, gdyż mieliśmy pod sobą przeszło trzydzieści centymetrów lodu. Śnieg sięgał za kostki i był dziewiczy. Jedynie w kilku miejscach natrafiliśmy na tropy saren, które ze wschodniego brzegu przeszły na przeciwległy.

Biały puch iskrzył się w słońcu. Nad sobą mieliśmy intensywnie niebieskie niebo z nielicznymi obłokami. W oddali, na tle ośnieżonego lasu widać było dwóch wędkarzy. Raz po raz wstawali z siedzisk i stawali przy przeręblach.

Odczuwałem radość, że idę w zimowy dzień, pod pięknym niebem, w temperaturze, którą lubię. A obok podąża mój kuzyn. Nie rozmawiamy, gdyż wszystko jest oczywiste. Wejście do klimatyzowanego wagonu spowodowało, że znad jeziora Pogorzelec skutego lodem powróciłem do Nowego Jorku. I nastąpiło to w oka mgnieniu.

Szczególnie mocno utkwiło mi w pamięci przebywanie w dwóch światach, gdy kilka tygodni temu szedłem przez Ridgewood na Queensie. Przemierzałem bardzo czyste, nie tylko jak na Nowy Jork, ulice, przy których stały jedno-, dwupiętrowe domy. Przed wieloma spośród nich znajdowały się niewielkie ogródki. Rosło tam też wiele drzew. Może właśnie te drzewa sprawiły, że w myślach znalazłem się w zupełnie innym miejscu. Nie, raczej nie one; na Ridgewood jest bardzo wiele klonów. Natomiast tam, gdzie przeniosłem się duszą, zdecydowanie dominują sosny i świerki, zaś klony są nieliczne.

Gremzdówka, fot. D. Pawlicki.

Przestałem odczuwać twardość asfaltowej nawierzchni pod podeszwami, gdy zszedłem z szosy. Dalej powędrowałem leśną drogą w stronę niewielkiego mostu na Gremzdówce. Ziemię pomiędzy pniami drzew pokrywał prawie jednolity kobierzec mchów. W miejscach, gdzie dominowały świerki, las wyglądał bajkowo, ale równocześnie tajemniczo. Wkrótce wyszedłem na otwartą przestrzeń. Przed sobą miałem Gremzdówkę, na której brzegach rosły liczne olchy. A po prawej stronie, spoza drzew i zarośli, przezierał fragment jeziora Miałkiego.

Gdy oparłem się o poręcz mostku, zacząłem wpatrywać się w bystry nurt niewielkiej rzeczki. Za sprawą czystej wody widziałem piaszczyste dno, gęsto upstrzone fragmentami muszli małży i kamieniami rozmaitej wielkości. Raz po raz w polu widzenia pojawiały się ławice drobnych ryb i pojedyncze, polujące na nie okonie. Ale to mogły być też jakieś inne ryby. Nie mogłem im się dokładnie przyjrzeć, gdyż były bardzo ruchliwe. Postaci umieszczonych we wnętrzu niedużej, przeszklonej kapliczki zawieszonej na drzewie, tuż przy moście, nie widziałem wyraźnie. Ale to niewidzenie było spowodowane tym, że ich nie pamiętałem. Na własne oczy widziałem je tylko raz jeden. Ale utkwiła mi w pamięci, mniej więcej, wielkość i kształt brązowej kapliczki. I na jej obserwacji, to moje połączenie z bardzo odległym punktem na Ziemi, urwało się. Doszedłem bowiem do Fresh Poind Road. A panujący tam ruch, na chodnikach i jezdni, wymusił uwagę.

1 sierpnia przemierzałem Brooklyn z południowego-wschodu na północny-zachód. Dzień był gorący – około 34° C w cieniu, ale, na szczęście, wilgotność jak na Nowy Jork latem, była niewielka – 40%. Wysoką temperaturę odczuwało się szczególnie na rozległych, wybetonowanych placach, na które nie rzucały cienia drzewa ani ściany domów. Niewielu napotykałem ludzi, szedłem bowiem przez tereny zajęte przez liczne hurtownie, magazyny, niewielkie fabryki. I zupełnie niespodziewanie, jakiś szczegół dostrzeżony na trasie bądź jakaś myśl, która przemknęła mi wtedy przez głowę, sprawiła, że przeniosłem się w wiadome miejsce. Ale tym razem nie wspominałem tego, co kiedyś się wydarzyło.

Dzień jest chłodny. Kolory liści na drzewach wskazują na początek jesieni. Mam na sobie kurtkę, a pod nią cienki sweter. Jest późne popołudnie i słońce znajduje się już nisko nad Lasem Pogorzelskim. Panuje cisza, jak to na Suwalszczyźnie ma miejsce już na długo przed zmierzchem. Panuje też całkowity bezruch. Ale przede wszystkim jest cicho. Tej ciszy mogę słuchać i słuchać. Takie dźwięki jak chrzęst żwiru pod podeszwami butów, tylko ją podkreślają.

Schodzę z drogi gruntowej prowadzącej z Jeziork do Krasnopola, przechodzę przez łąkę i wdrapuję się na wzgórze. Siadam na grubej gałęzi pod niską sosną pochyloną za sprawą północnego wiatru, który stale tam wieje. On też ustala kierunek fal na

jeziorze Głuchym. Te fale rozbijają się u podnóża wzgórza. Dlatego na wąskiej piaszczystej plaży jest zawsze pas piany, szerszy bądź węższy. Odgłosy monotonnych uderzeń dochodzą do mych uszu. Ale poza tym dźwiękiem istnieje wyłącznie cisza. Ze wzgórza widzę samotne gospodarstwa rozrzucone nad brzegami jeziora. Każde z nich jest częściowo skryte pośród starych drzew i usadowione na niewielkim zniesieniu, w jakie obfituje północna Suwalszczyzna.

Robi się coraz chłodniej i jestem zmuszony zapiąć kurtkę pod samą szyję. Ale na… brooklyńskiej ulicy, jak było, tak i jest skwarnie. Dzisiaj jest jeszcze goręcej. Do tego w powietrzu jest chyba wyłącznie wilgoć. Niestety, ale kilka podjętych przeze mnie prób przeniesienia się nad skute lodem jezioro Wigry, spaliło na panewce. To, co zobaczyłem, prezentowało się niewyraźnie, było bardzo rozmyte. Wyróżniłem w tej swoistej mgle jedynie zarysy obu wież kościelnych i wieży zegarowej na Półwyspie Klasztornym. Aby poczuć ulgę, próbowałem wyobrazić sobie owiewające mnie zimne powietrze. Ale i z tego nic nie wyszło. Zdesperowany, próbowałem pójść na całość i, mimo wszystko, wmówić sobie, iż jest bardzo zimno. Po czym ubrałem się, oczywiście w myślach, w sweter. Szybko jednak go zdjąłem, gdyż poczułem jeszcze wyższą temperaturę. Nie miałem już wątpliwości co do tego, że dziś moja dusza nie wyrwie się z Nowego Jorku. Najwidoczniej wilgoć, gdy jest jej nazbyt dużo w powietrzu, sprawia, że staje się ona za ciężka.

„Dobry wieczór Monsieur Chopin”.

27 października 2016 r. na XX Międzynarodowych Targach Książki w Krakowie miała miejsce premiera książki Joanny Sokołowskiej-Gwizdka „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny” (wyd. Novae Res). Oto kolejny fragment książki – o powstaniu widowiska teatralno-muzycznego „Dobry wieczór Monsieur Chopin”.



Żelazowa Wola

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Na tle obrazów Mazowsza oraz parku i dworku w Żelazowej Woli, z dochodzącą z dala muzyką Chopina, słychać głos.

Kustosz:

Chcę bajkę opowiedzieć

Ze wszystkich najprawdziwszą,

O pewnym chłopcu i przyjacielu jego

Zaczarowanym fortepianie.

(…)

Obraz się zmienia, jesteśmy we wnętrzu dworku w Żelazowej Woli. Ten sam głos podejmuje dialog z duchem Chopina.

Kustosz:

Dobry wieczór, monsieur Chopin.

Jak pan tutaj dostał się?

Głos Chopina:

Ja przelotem z gwiazdki tej.

Być na ziemi to mi lżej:

stary szpinet, stary dwór,

ja mam tutaj coś w C-dur,

(taką drobnostkę, proszę pani),

w starych nutach stary śpiew,

jesień, leci liście z drzew.

Głosy cichną, nowoczesna, energiczna, młoda kobieta zapala lampę.

– Witam państwa bardzo serdecznie w Żelazowej Woli – mówi – i zapraszam na wędrówkę śladami wielkiego kompozytora.

Zaczyna oprowadzać po miejscach Chopina, jego życiu i pozostałych po nim śladach. Tak zaczyna się widowisko teatralne poświęcone życiu i twórczości naszego wielkiego kompozytora.



Wnętrze dworku w Żelazowej Woli.

W 2010 roku, w dwusetną rocznicę urodzin Chopina muzyka wielkiego Fryderyka rozbrzmiewała na całym świecie. Salon również chciał się włączyć w obchody, wprowadzając do swojego repertuaru spektakl przybliżający postać kompozytora. Cały 2009 rok trwały przygotowania, sztuka kanadyjskiej autorki miała być adaptowana przez krakowskiego reżysera. Skupiała się na konfliktach i napięciach pomiędzy Chopinem, George Sand i jej dziećmi w Nohant. Jednak adaptacja poszła tak daleko, że autor nie zaakceptował zmian. Kończył się rok 2009, Maria była

przerażona, bo sztuka powinna być już gotowa, a tu jeszcze potrzeba czasu na uczenie się roli, na dobieranie kostiumów, przygotowywanie dekoracji, opracowanie muzyki. Nie chcąc jednak nikogo dotknąć, musiała zrezygnować z tekstu. Co teraz robić? – pytała sama siebie przerażona.

Byłam wówczas w Toronto. Pamiętam, że siedziałam w mieszkaniu przy ulicy Oakmount w High Parku, zapadłam się w głęboki fotel i pijąc kawę, słuchałam pełnej rozterek Marii. Przypomniały mi się czasy, kiedy byłam rzecznikiem prasowym Festiwalu Chopinowskiego w Nohant i pisałam codzienne relacje do „Rzeczpospolitej". Zagłębiłam się wtedy w losy Chopina, „zaprzyjaźniłam się" z George Sand i jej artystycznym otoczeniem.

Pamiętam dobrze mój pierwszy przyjazd do Nohant. Było wtedy ciepłe lato. Całe Berry zakwitło łąkami na pagórkowatym terenie.

Posiadłość George Sand położona była w małej średniowiecznej osadzie. Wiejski dwór w stylu Ludwika XV, otoczony dzikim parkiem, był zaniedbany. Mimo że udostępniony dla zwiedzających i wpisany do rejestru zabytków państwowych, a tym samym otoczony opieką państwa, nie miał charakteru muzeum. Przypominał dom w nieładzie, który po jakiejś burzy w pośpiechu opuścili mieszkańcy, zabierając tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Dom mimo wszystko zatrzymał ciepłą

atmosferę azylu i wspomnienie szczęśliwych chwil oraz ślady po licznych spotkaniach i częstych wizytach nieprzeciętnych gości.



Fryderyk Chopin, L.A. Bisson, 1849 r.

Koncerty w ramach Międzynarodowego Festiwalu Chopinowskiego pod artystyczną dyrekcją profesora Adama Wibrowskiego odbywały się nie tylko w Nohant, lecz także w pobliskim La Châtre. Spotkałam wtedy mnóstwo ciekawych ludzi, laureatów konkursów chopinowskich, profesorów akademii muzycznych z całego świata. Poznałam też francuską pisarkę Sylvie Delaigue-Moins, od lat zgłębiającą losy Chopina i George

Sand oraz jej męża, malarza Claude'a Moinsa. Gościłam w ich dużym, przeszklonym, wielopoziomowym domu na wyspie, z widokiem na wodę i las. Sylvie właśnie wydała książkę – „Chopin u Geroge Sand. Kronika siedmiu lat". Claude natomiast zrekonstruował słynny obraz Eugène'a Delacroix, przedstawiający romantyczną parę. Chopin siedzi przy fortepianie, a nad nim pochyla się George Sand z kwiatem we włosach. Rekonstrukcja była dla malarza iście detektywistyczną przygodą. Nie wiadomo było, jak dokładnie wyglądał oryginał, gdyż po śmierci Delacroix, przecięto go na pół i odrzucono górne tło. Sprzedając osobno Chopina i George Sand, można było uzyskać wyższą cenę. Obydwie części obrazu przeszły różne koleje losu, ostatecznie Chopin trafił do zbiorów muzeum w Luwrze, a George Sand do Ordrupgaard Museum w Kopenhadze. Malarz Claude Moins odtworzył oryginał, badając drogę, jaką przeszły obydwie części obrazu. Jego największym odkryciem było ustalenie proporcji i układu dzieła, jako pionowego. Do tej pory historycy sztuki uważali, że obraz był poziomy, i takie reprodukcje pojawiały się w albumach.

Gdy opowiadałam o moich przygodach z Chopinem i George Sand, Marii nagle pojaśniała twarz.

– Przecież razem możemy napisać scenariusz przedstawienia! – zawołała z radością.

Wzięłyśmy się więc ostro do pracy. Ja zbierałam materiały biograficzne i wiersze o Chopinie, Maria analizowała teksty, czytała książki i szukała koncepcji wyrazu teatralnego. Spektakl miał być przedstawieniem „eksportowym”, ograniczało to obsadę aktorską do dwóch ról żeńskich, osoby starszej i młodszej. Z konieczności musiało to być widowisko o Chopinie bez postaci Fryderyka. Najlepiej, aby było współczesne, wtedy można mieć większą swobodę w konstruowaniu scenografii i kostiumów.

Inspiracją do stworzenia postaci stała się moja przygoda z Nohant. Młoda dziennikarka z Polski, zafascynowana Chopinem jedzie do Francji i tam spotyka starszą od siebie, doświadczoną francuską pisarkę zajmującą się losami romantycznej pary. Z rozmowy dwóch kobiet wyłania się postać Chopina z punktu widzenia zarówno Polki, jak i Francuzki. To miała być oś spektaklu. Do tego poezja chopinowska, dużo muzyki zaaranżowanej przez Jerzego Boskiego i obraz, jakże ważny w przedstawieniu – przenikające się slajdy, na których widać Żelazową Wolę, portrety rodziców małego Frycka, obrazy Mazowsza, nuty, rękopisy listów, a potem Nohant, słynny obraz Delacroix itd. W miarę pracy nad tekstem postać dziennikarki została zamieniona na fikcyjną panią kustosz muzeum w Żelazowej Woli. Dawało to możliwość stworzenia sceny „oprowadzania gości” i opowiedzenia historii dzieciństwa oraz młodości późniejszego kompozytora.



Maria w kreowaniu obrazu i budowaniu napięcia teatralnego jest nieoceniona. Układ scen i rozpisanie na role przychodzi z czasem, w wyniku długiego poszukiwania właściwej drogi.

W spektaklu Maria wciela się w rolę autentycznej postaci Sylvie Delaique-Moins. Wymienione są tytuły jej książek i pokazane okładki na slajdach. Kiedyś w ferworze przygotowań do prapremiery Maria zadzwoniła do mnie i zapytała:

– Powiedz mi szybko, jak ja się nazywam?

Zaniemówiłam. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że chodzi o francuską pisarkę.

W tekście obok Nohant pojawia się pobliskie La Châtre, jest też scena opisująca poszukiwania Claude'a Moinsa i historia związana z rekonstrukcją obrazu Delacroix, zaczerpnięte z mojej chopinowskiej przygody.

W przedstawieniu równie ważną rolę odgrywają słowo, muzyka, jak i obraz. Powstało widowisko działające na emocje widza i przekazujące bardzo duży zasób informacji biograficznych na tle epoki. Wrażenie wywołuje dynamiczny wiersz Or-Ota (Artura Oppmana), pokazujący nastroje podczas powstania listopadowego, który mówią na zmianę obydwie kobiety – przewodniczki po życiu Chopina. Jest też lirycznie i romantycznie, są emocjonalne burze, które przytaczają na scenie Polka i Francuzka czytając dziewiętnastowieczne listy oraz ponadczasowa chopinowska muzyka. I mimo że na scenie są dwie współczesne kobiety, a Chopin pojawia się tylko jako głos z oddali, przybliżone zostają zarówno losy kompozytora, jak i jego osobowość.

Pisarka:

Chopin wszedł. W lamp półcieniu dziwny jak zjawisko,

Nad rebusem klawiszów pochylił się nisko…

W niemą salę padł pierwszy dźwięk. Improwizuje.

On oczy ma zamknięte. Lecz nie gra. Maluje.

Przypomniał jakiś obraz: wieś w gruszkowych sadach,

Bose dzieci na progach, malwy na lewadach,

Roześmianą dziewczynę w kalinowym wianku,

Rozedrgany graniem dzwonek w różowym poranku;

Barwy mu dnia i zmierzchu wiążą się pod ręką –

I widok, jakby wstążką, owinął piosenką.

Dziwna piosenka, wszystkim słuchaczom przyjemna,

(…)

A on odjął na chwilę palce od klawiszy:

Skupia się. Na coś czeka. Czegoś słucha w ciszy,

I nagle: podniósł ręce, jakby cios wymierzył,

I w zmartwiałe klawisze, jak burzą, uderzył,

I wydarł z nich melodię tak straszliwej mocy,

Jak baterie piorunów bijących wśród nocy,

I taka stal pod ręką zadźwiękła mu twarda,

Aż się wzdrygnął i żachnął fortepian Erarda.

Spektakl kończy się powrotem do Żelazowej Woli, powraca głos Chopina, odbijający się echem od ścian dworku, powtarza się melodia wiersza Gałczyńskiego.

Pisarka:

Dobry wieczór, monsieur Chopin,

Jak pan tutaj dostał się?

Głos Chopina:

Ja przelotem z gwiazdki tej.

Być na ziemi to mi lżej:

stary szpinet, stary dwór,

ja mam tutaj coś w C-dur,

(taką drobnostkę, proszę pani),

w starych nutach stary śpiew,

jesień, leci liście z drzew.

Pisarka:

Pan odchodzi? Hm. To żal.

Matko Boska, w taką dal!

Rękawiczki. Merci bien.

Pisarka i Kustosz:

Bon soir, monsieur Chopin.

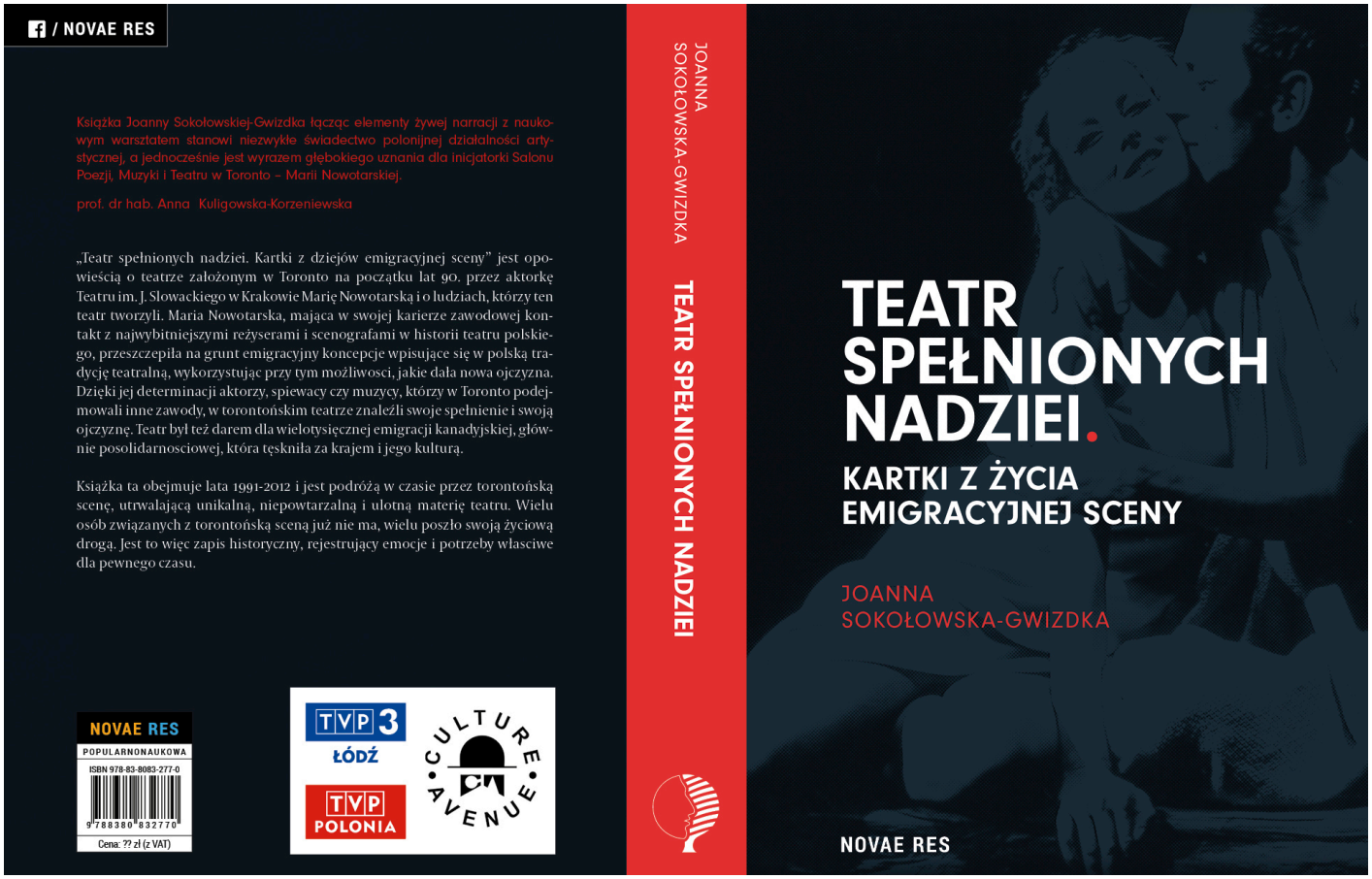
Na finał brzmi *Polonez As-dur* op. 53.



Dobry wieczór, Monsieur Chopin, scenariusz: Maria Nowotarska, Joanna Sokołowska-Gwizdka, reżyseria: Maria Nowotarska, wykonawcy: Maria Nowotarska i Agata Pilitowska oraz Piotr Pilitowski (głos Chopina), opracowanie muzyczne Jerzy Boski, scenografia Jerzy i Michał Monka, zdjęcia Adam Orzechowski, montaż dźwięku i obrazu Leonard Gaweł „Nomados", tłumaczenie portugalskie prof. Mariano Kawka z Uniwersytetu w Kurytybie, tłumaczenie angielskie Witold Liliental, tłumaczenie francuskie Alina Nitka (Paryż), prapremiera sierpień 2010, São Paulo, Brazylia, premiera torontońska 17.02.2010, Living Arts Centre, Mississauga.

Kolejny fragment książki ukaże się w poniedziałek 28 listopada.

Książka jest publikacją multimedialną. Pod spisem fotografii został wydrukowany link i QR code, który przekierowuje czytelnika na stronę internetową, gdzie znajduje się galeria kolorowych fotografii w wysokiej rozdzielczości.



Publikacja jest dostępna w sprzedaży w księgarniach stacjonarnych w Polsce i w księgarniach internetowych.

Księgarnia internetowa Gandalf wysyła książki za granicę i przyjmuje karty kredytowe.

http://www.gandalf.com.pl/a/sokolowska-gwizdka-joanna/

Inne księgarnie:

http://zaczytani.pl/ksiazka/teatr_spelnionych_nadziei_kartki_z_zycia,druk

http://lubimyczytac.pl/ksiazka/3952985/teatr-spelnionych-nadziei-kartki-z-zycia-emigracyjnej-sceny

https://aksiazka.pl/produkt-302969,teatr-spelnionych-nadziei

Zbyt daleko, żeby się przejmować? – Wywiad z Nicholasem Kristofem.

Wywiad na prawach wyłączności z Nicholasem Kristofem, dziennikarzem z New York Timesa, dwukrotnym laureatem Nagrody Pulitzera, wyróżnionym w 2016 r. nagrodą „Spirit of Jan

Karski Award”.

Bożena U. Zaremba



Nicolas Kristof podczas pracy reporterskiej.

Bożena U. Zaremba: Znane powiedzenie, że śmierć jednostki jest tragedią, ale śmierć miliona to tylko statystyka, jest dzisiaj szczególnie aktualne. W jednym ze swoich ostatnich artykułów porównał Pan syryjską dziewczynkę do Anny Frank, tak jakby chciał Pan nadać kryzysowi w Syrii ,,twarz”. Uważa Pan, że ,,twarz” jest niezbędna, żeby ludzie zareagowali?

Nicholas Kristof: Myślę, że tak. W moich artykułach, szczególnie z Darfuru, byłem tak sfrustrowany brakiem reakcji, że zacząłem zgłębiać prace psychologów społecznych, szczególnie profesora Paula Slovica. Badał on przyczyny ludzkiej empatii i jeden z jego wniosków był taki, że czujemy współczucie nie do grup ludzi, ale do jednostek i reagujemy bardziej na historię jednostki. Doprowadziło mnie to do stworzenia „klucza" do empatii w stosunku do światowych problemów. I tego klucza staram się używać w moich artykułach i książkach.

BUZ: Myśli Pan, że wojna w Syrii i kryzys uchodźczy są teraz najbardziej palącą kwestią?

NK: Jest wiele naglących spraw i nie lubię, kiedy wymaga się ode mnie ich wartościowania, jednak na pewno jest to jeden z głównych problemów. Na całym świecie jest ponad 60 milionów uchodźców i migrantów; wojna w Syrii pochłonęła do tej pory około 470 tysięcy ofiar i liczba ta wciąż rośnie. Niestety, jest wiele innych globalnych problemów, które nas zajmują i które szczególnie leżą mi na sercu – ocieplenie klimatu, rozwijający się konflikt w Sudanie Południowym, prawa kobiet czy wyzysk w celach seksualnych.

BUZ: Czyż nie jest to przytłaczające? W innym artykule stwierdził Pan, że bardziej przejmujemy się śmiercią psa niż człowieka. Czy całkowicie utraciliśmy już zdolność współczucia?

Wydaje się, że znajdujemy się w kryzysie, także, jeżeli chodzi i o tę kwestię.

NK: Ludzie rzeczywiście czują się przytłoczeni skalą globalnych problemów, z którymi musimy się dzisiaj zmierzyć, jednak myślę, że ma to związek z tendencją do zdystansowania się do cierpienia na dużą skalę. Każda pojedyncza reakcja na tragedię jest tylko kroplą w morzu potrzeb, jednak twierdzę, że każda pojedyncza kropla ma znaczenie. Być może nie jesteśmy w stanie pomóc 60 milionom przesiedlonych ludzi, ale z łatwością możemy pomóc jednej rodzinie, która straciła swój dom i walczy o przetrwanie. Z punktu widzenia tej rodziny jej przypadek jest do rozwiązania. Najlepszym przykładem jest historia mojej własnej rodziny.

BUZ: Pański ojciec był uchodźcą, prawda?

NK: Zgadza się. Został przyjęty do USA, [jako uchodźca] w 1951 r., co całkowicie odmieniło jego los. A także mój własny. Prawdziwe nazwisko mojego ojca brzmiało Krzysztofowicz. Razem ze swoją rodziną, mój ojciec działał [podczas II wojny światowej] w polskim podziemiu, na szlaku kurierskim. Mojego krewnego Niemcy złapali na gorącym uczynku z mikrofilmami, w naszym majątku przy granicy polsko-rumuńskiej. Inni członkowie mojej rodziny byli pojmani po polskiej stronie i zostali przewiezieni do Auschwitz, gdzie zostali zamordowani.

Natomiast mój ojciec wraz kilkoma osobami został schwytany w Rumunii, gdzie Niemcy mieli silne wpływy, ale nie mieli pełnej kontroli. Moja rodzina zapłaciła dużą łapówkę, aby go wypuszczono, ale jeden kuzyn pozostał w więzieniu do czasu, aż Rumunia przeszła na drugą stronę. Kiedy świętował koniec wojny [podczas mszy] w kościele, Sowieci aresztowali go, bo podejrzewali, że jest szpiegiem polskiego wolnego rządu. Był za bardzo prozachodni. Zesłano go na Syberię, gdzie zmarł w gułagu. Zobaczyłem, więc, jakie koszty poniosła moja własna rodzina w związku z działaniami wojennymi.

BUZ: Czy te doświadczenia miały wpływ na Pańskie poglądy?

NK: Niewątpliwie. Historia mojego ojca na pewno pomogła ukształtować mój pogląd w sprawie uchodźców i uwrażliwiła mnie na ich tragiczne losy. To jeden z powodów, dlaczego tak żarliwie zajmuję się tą kwestią.

BUZ: Jakie według Pana są obowiązki dziennikarza? Zdać raport czy może coś więcej? Podnosić świadomość społeczną, wpływać na opinię czy pobudzać do działania?

NK: Myślę, że wielu z nas zostało dziennikarzami w nadziei, że nasz głos będzie się liczyć. Wydaje mi się, że kiedy tylko informujemy o życiu celebrytów czy o bieżących wydarzeniach politycznych tracimy ważną część tego, czym powinno być

dziennikarstwo. Dziennikarstwo może świetnie wpisać zapomniane kwestie do codziennej agendy; kiedy jakaś kwestia nie przykuwa wystarczającej uwagi, możemy ją naświetlić. Można by więc powiedzieć, że zajmujemy się ,,biznesem oświetleniowym".

BUZ: Czy czuje się Pan w obowiązku w ten właśnie sposób podchodzić do swojego dziennikarstwa?

NK: Tak, chociaż poświęcenie uwagi danej kwestii nie gwarantuje, że pociągnie to za sobą jakieś działanie, czego doświadczył Jan Karski. Ale na pewno jest to niezbędny krok.

BUZ: Informacja o traktowaniu Żydów w czasie II wojny światowej pojawiła się na ostatniej stronie New York Timesa i niektórzy ludzie twierdzą, że jeśli Facebook istniałby w czasie wojny, to Holokaust nigdy nie miałby miejsca. Podpisuje się Pan pod tym stwierdzeniem?

NK: Byłbym ostrożny w formułowaniu takich stwierdzeń – pół miliona Syryjczyków zostało zabitych i mimo, że mamy Facebooka, świat praktycznie pominął to milczeniem. Zgadzam się z tym, że media społecznościowe, zdjęcia i nagrania przybliżają nam cierpienia z odległych krajów, przez co trochę trudniej je zignorować, jednak, jako ludzie mamy niezwykłą zdolność do odwracania wzroku w sytuacji, gdy naprawdę nie

wiemy, co zrobić, kiedy pojawiają się ofiary. Mówimy wtedy, że „to są Żydzi" albo „to są Syryjczycy" – „oni są od nas odmienni". Więc być może media społecznościowe pomogłyby w czasie II wojny światowej, ale nie podejrzewam, żeby końcowy efekt był znacząco inny.

BUZ: Podobno zainspirował Pan Melindę i Billa Gatesa do skoncentrowania się w ich pracy charytatywnej na światowych problemach zdrowia publicznego. Co uważa Pan jak dotąd za największe osiągnięcie swojego dziennikarstwa w zachęcaniu ludzi do działania?

NK: Jest kilka takich spraw, na które pomogłem (wraz z innymi) zwrócić więcej uwagi i coś zmienić. Jedną z nich jest Darfur, inną handel kobietami na całym świecie, a także prawdopodobnie zdrowie reprodukcyjne, a szczególnie problem przetoki pochwowej. W każdym z tych przykładów ofiary przyciągają coraz więcej zainteresowania i środków.

BUZ: Napisał Pan wiele książek, między innymi ,,China Wakes" ,,Half the Sky" i ,,A Path Appears" razem ze swoją żoną Sheryl WuDunn. Wyobrażam sobie, że współpraca ze współmałżonkiem może być wyzwaniem.

NK: Ludzie często pytają, jak nam się udaje razem pisać książki i dalej być małżeństwem [*śmiech*]. Prawda jest taka, że jeżeli ma

się troje dzieci i jest się w stanie razem je wychowywać, wtedy napisanie razem książki to bułka z masłem [*śmiech*]. Sheryl jest naprawdę wspaniałą pisarką i świetnie redaguje teksty.

BUZ: W jakich okolicznościach po raz pierwszy usłyszał Pan o Karskim?

NK: Miałem bardzo mgliste pojęcie o Karskim, ale książka Samanthy Power ,,A Problem from Hell", w której jest mowa o Karskim, uświadomiła mi, czego dokonał. Zaangażowanie w polskie podziemie rodziny mojego ojca w pewien sposób też mnie do niego zbliżyło.

BUZ: Dlaczego jest on tak ważną postacią?

NK: Z powodu spraw, którymi zajmował się przez całe życie i z którymi my również cały czas musimy się mierzyć:, w jaki sposób my, jako społeczeństwo reagujemy na prześladowania i cierpienie w odległych krańcach świata. Są takie niezwykłe postaci w polskim ruchu oporu, jak Jan Karski i Witold Pilecki, których dokonania są po prostu zadziwiające. Oni poświęcili tak dużo i starali się wykrzyczeć całemu światu „Zwróć uwagę!" Ale świat pozostał niewzruszony. Dzisiaj mamy innych „Karskich", którzy próbują robić to samo, wyeksponować pewne problemy, co sprawia, że Jan Karski jest ciągle aktualny.

BUZ: W co Karski byłby dzisiaj zaangażowany gdyby żył? O co by się troszczył?

NK: Myślę, że kryzys uchodźczy zajmowałby wysoką pozycję na liście spraw, którymi by się zajmował. Od czasów II wojny światowej nie widzieliśmy tak wielu ludzi w stanie desperacji, opuszczających swoje domy, ryzykujących swoje życie w nadziei na poprawę losu. I znowu nikt nie działa dostatecznie zdecydowanie, aby odpowiedzieć na ich potrzeby. Chodzi mi nie tyko o ich przyjęcie, ale również o poradzenie sobie z przyczynami, przez które ci ludzie tracą swoje domy, co koniec końców jest odpowiednią drogą do rozwiązania ich problemów.

BUZ: Myśli Pan, że popularyzacja spuścizny Karskiego może pomóc rozwiązać dzisiejsze problemy i konflikty?

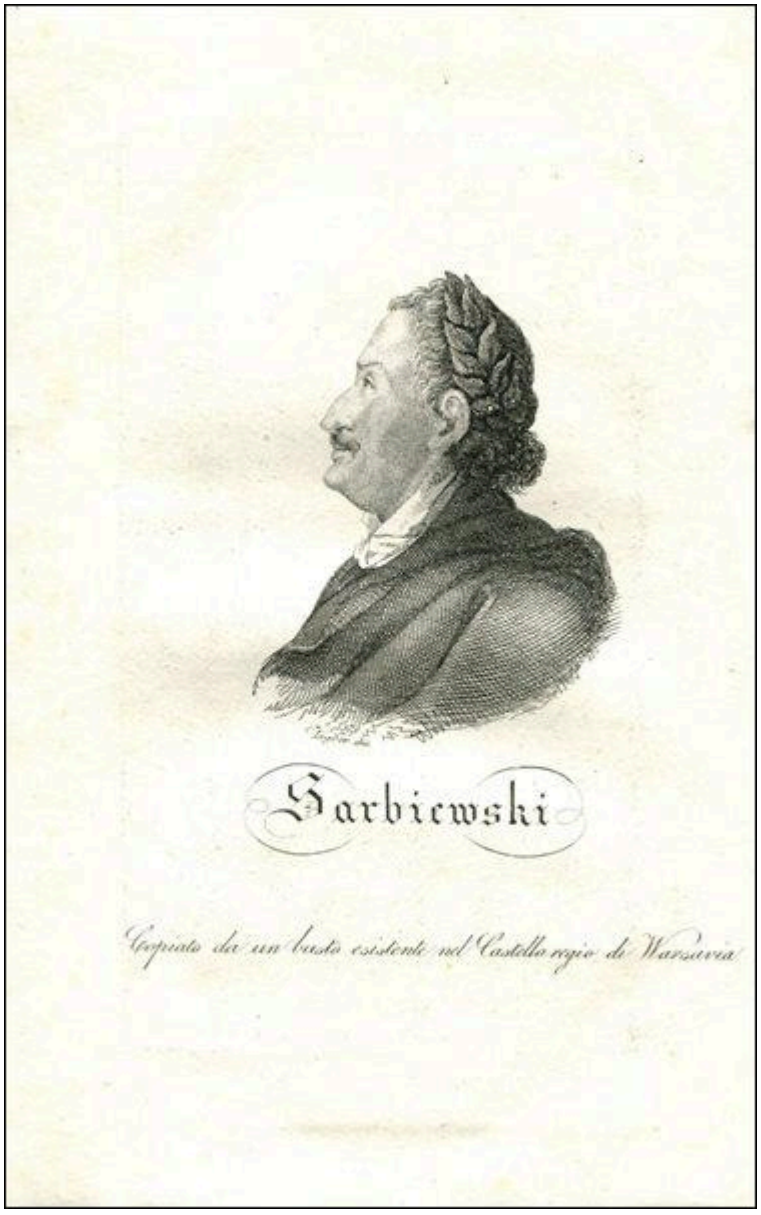
NK: Tak, myślę, że historia Karskiego jest tak uniwersalna, że także dzisiaj ukazuje nam właściwe wzorce postępowania. Karski jest niezwykłym przykładem odwagi i determinacji, więc może służyć, jako inspiracja nie tylko do empatii, ale także do podjęcia akcji w imieniu tych, którzy tego potrzebują.

Uroczystość wręczenia „The Spirit of Jan Karski Award" odbyła się we wtorek, 1 listopada o 18:30 w The New School w Nowym Jorku.

Sarbiewski – pierwszy prawdziwie europejski poeta

Romuald Mieczkowski

Litwa i Polska są członkami Wspólnoty Europejskiej. Czy jednak dopiero w maju 2004 roku znaleźliśmy się w Europie? Co stanowi naszą największą wartość w dobie historycznego otwarcia się granic i nowych możliwości? – te kwestie wciąż godne są rozważenia.

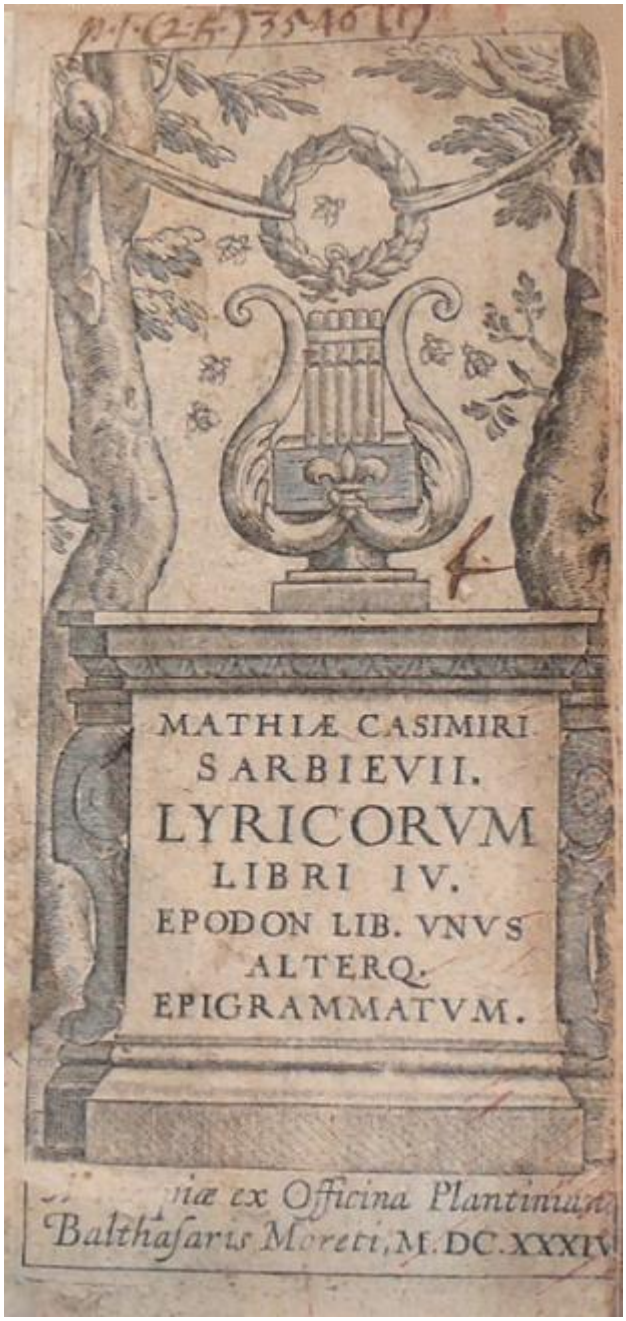


Dowodem tego, że nie dopiero teraz, lecz znacznie wcześniej nasi ludzie, przedstawiciele nauki i sztuki, byli znani w krajach Europy Zachodniej jest osoba Macieja Kazimierza Sarbiewskiego, urodzonego w 1595 roku na Mazowszu, w Sarbiewie niedaleko Płońska i zmarłego w 1640 w Warszawie, poety i teoretyka literatury, najpopularniejszego przed Sienkiewiczem autora polskiego. Uczył się w kolegium jezuickim w Pułtusku, w 1612 roku wstąpił do nowicjatu Towarzystwa

Jezusowego w Wilnie, potem studiował w Collegium SJ Braniewie, wykładał jako magister poetyki i syntaksy (składni) w kolegiach jezuickich w Krożach (Kražiai) na Żmudzi i jako wykładowca retoryki w Połocku, następnie studiował w Akademii Wileńskiej teologię. Dalsze studia – w Rzymie i Collegium Germanum.

Debiutował w roku 1619. Jego twórczość, pisana po łacinie (co wówczas niejako odpowiadało dzisiejszemu statusowi języka angielskiego w międzynarodowym komunikowaniu się) była znana daleko poza granicami Rzeczpospolitej Obojga Narodów. Wiersze jezuity Sarbieviusa czy Casimire o Matce Boskiej Trockiej (*Cztery mile Najświętszej Panny, czyli publiczna uroczysta procesja do kościoła Najświętszej Panny w Trokach*), napisane w Wilnie, wydane zostały w Antwerpii, kiedy ich autor przebywał we Włoszech, w Rzymie. W 1623 roku podbił swą twórczością Wieczne Miasto, dostał złoty medalion i został uwieńczony poetyckim wieńcem laurowym przez papieża Urbana VII, który jako humanista i sam poeta, należał do wielbicieli Sarbiewskiego. W 1625 roku jego pieśni zostały wydane w Kolonii. Sporo utworów poświęcił Wielkiemu Księstwu Litewskiemu i jego ludziom, Wilnu poświęcił odę. Był przywiązany do tej Ziemi, od niego można wywodzić dzisiejsze pojęcie „Małej Ojczyzny”. Do wielu wierszy Sarbiewskiego dorabiano melodie.

Po powrocie, w 1626 roku, podjął pracę w Collegium SJ w Połocku, zaś w 1628 powrócił do Wilna, gdzie prowadził wykłady z zakresu filozofii i teologii, w tymże roku ukazuje się jego *Lyricorum*, zaś po dwóch latach w Antwerpii, z późniejszym wznowieniem. Był świetnie wykształcony, znał prócz łaciny dobrze włoski, francuski, grekę, grał na wielu instrumentach – na klawesynie, cytrze, harfie…



Zyskał sławę i przydomek Horacego Chrześcijaństwa i Horacego Sarmackiego, a to dzięki mistrzowskiemu opanowaniu formy horacjańskiej, głównie w odach i epigramach, dzięki której w poezji przedstawiał swą wizję świata (*Lyricorum libri IV*, 1632, z winietą zaprojektowaną przez samego Rubensa, miały około sześćdziesiąt wydań w różnych krajach Europy, były przekładane i naśladowane w Niderlandach, Anglii i Francji!). Był najbardziej "barokowym" przedstawicielem naszej literatury na świecie.

W latach 1633-1655 pełnił obowiązki dziekana Wydziału Filozofii i Teologii Akademii Wileńskiej, tutaj otrzymał doktorat. Od 1635 roku – nadworny kaznodzieja Władysława IV.

Sarbievius w swych pracach teoretycznoliterackich sformułował program literatury baroku – z uwzględnieniem piękna przyrody i

codziennego bytu z biblijnymi wątkami (*De perfecta poesi – O poezji doskonałej, w zbiorze Wykłady z poetyki, Poemata omnia*). Po raz pierwszy jego twórczość szerzej zaistniała po polsku w *Przekładach polsko-łacińskich epoki Zygmuntowskiej* (t. 4-5, 1851). Do poezji Sarbiewskiego nawiązywał Adam Mickiewicz – takie paralele można znaleźć bardzo często w Panu Tadeuszu, cenił go Władysław Syrokomla, który pisał:

> W takiej chwili, kiedy sumiennie mówiąc, nie mieliśmy i nie mogliśmy mieć w kraju ani jednego prawdziwego poety, zagrzmiał z Rzymu po Europie głos łacińskiej pieśni Polaka i jezuity Sarbiewskiego.

Zachwycał się nim Józef Ignacy Kraszewski. Ta niezwykle barwna postać jest wciąż mało znana i potrzebuje znaczniejszego upowszechnienia. Tym bardziej w dobie obecnej, gdy mówimy o związkach z kulturą europejską.

> (…) poezja Sarbiewskiego dokonuje rzeczy niezwykłej: podkreślając zmysłowość świata, zarazem – wyzwala nas od niej, więcej: wyzwala nas od lęku przed śmiercią. Poeta nie twierdzi, że śmierć nie jest dramatem, on tylko pokazuje, że można go zniwelować, gdy odrzucimy strach, a podniesiemy na drugą stronę swą tęsknotę do piękna i prawdy

– napisał wybitny znawca twórczości Sarbiewskiego, prof. Jakub Zdzisław Lichański we wstępie do *Poezji wybranych* (1986).

W innym miejscu (w *Nauce z poezji Macieja Kazimierza Sarbiewskiego SJ,* 1995) czytamy piękne stwierdzenie tegoż autora:

> Poezja Sarbiewskiego, mimo że oddzielają nas od niej dwie bariery: czasu i języka, jest dla nas bardzo ważna. Przede wszystkim przypomina o wartościach, które są fundamentem kultury europejskiej. Tkwią one nie tylko w antyku i chrześcijaństwie, ale i w tradycjach narodowych. Musimy do nich stale sięgać; muszą one być dla nas siłą tworzącą; budującą przyszłość.

Natomiast noblista – Czesław Miłosz w „Historii literatury polskiej do roku 1939” stwierdza:

> Sarbiewski doprowadził mającą długą tradycję poezję łacińską w Polsce do perfekcji i aż do dziś żaden poeta polski nie zyskał takiej sławy za granicą, jak Sarbiewski za życia i w okresie paru dziesięcioleci bezpośrednio po śmierci.